ŚWIAT

1 ZŁ

Nr. 7. DNIA 18 LUTEGO 1933 ROKU



PRZED BALEM W ZOO

TREŚĆ:

NASZ HUMOR POLITYCZNY

Wicemarszałek Polakiewicz zaprojektował w Sejmie wprowadzenie podatku od służby domowej



— Marcysiu, ja chciałbym z ciebie ściągnąć .. podatek.
— No noo, bo powiem pani!

Rys. M. Berezowska „Cyrulik Warszawski"

Humor teatralny

„UCZCIWY" ANONS...

W pewnym teatrze w Berlinie zdarzyło się, że na przedstawienie przybyło kilkadziesiąt osób za „kartkami" i jeden — jedyny! — widz za pieniądze. Traf chciał, że tegoż wieczora trzeba było zrobić zastępstwo w jednej z ról głównych. Sumienny reżyser wychodzi przed rampę i z właściwą niemcom dokładnością zwraca się do publiczności:

„Wielce szanowny panie..."

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 18-go LUTEGO 1933 ROKU
ROK XXVIII • NR. 7 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY



Przyznanie państwowej nagrody literackiej Wacławowi Berentowi znów zwróciło uwagę na tego znakomitego pisarza, ukrywającego się przed okiem publiczności i przypominającego się jej zbyt rzadko swemi utworami. Bezpośrednio po zaszczytnem odznaczeniu Berenta daliśmy krótką sylwetkę tego niezwykłego człowieka - samotnika i oryginała. Obecnie zamieszczamy charakterystykę pisarza, twórcy nowego rodzaju powieści polskiej i świetnego stylisty. Wyszła ona z pod pióra jednego z najwrażliwszych i najbardziej autorytatywnych krytyków polskich — Kazimierza Czachowskiego, którego cenne współpracownictwo zdobyliśmy na stałe dla „Świata".

Serce myślące a mózg czujący

W dziejach powieści polskiej, nietylko na tle swego czasu, twórczość Wacława Berenta (ur. 1873) jest zjawiskiem zupełnie odrębnem a niemal wyjątkowem. Wśród poprzedników Berenta na polu polskiej prozy epickiej wskazaćby się dało bodaj tylko „Pogankę" Żmichowskiej i nowele Norwida, jako utwory, które pod kątem oceny ogólno-europejskiej podobne mają znaczenie. Ze współczesnych Berentowi wymienić wypadnie „Pałubę" Irzykowskiego.

Począwszy od Kraszewskiego, niesłusznie zapomnianego i niedocenianego, względnie przez popularyzację pośledniejszej części jego twórczości zepchniętego do rzędu literatury ad usum Delphini, pochwalić się wprawdzie możemy wcale pokaźną liczbą arcydzieł powieściowych, ale naogół mimo bardzo indywidualne odchylenia i nawet odrębną klasę wielkiego stylu, jak np. u Sienkiewicza, później u Żeromskiego,— mieszczą się one w ramach poprzedzających je ogólno-europejskich tradycyj lub nowych prądów. Natomiast wymienione utwory Żmichowskiej, Norwida, Irzykowskiego bądź wyprzedzały swój czas, bądź nawet pozostały w swoim rodzaju jedynemi, bez wzorów ani naśladowców. Tak samo Berent w swoich trzech arcydziełach powieściowych: „Próchnie" (1903), „Oziminie" (1911) i „Żywych kamieniach" (1919) stworzył nowy, własny, zupełnie odrębny styl, za każdym razem wyrażający się inaczej, ale z wybitnie zawsze zaznaczonem piętnem indywidualnej tożsamości twórczej.

Powieści Berenta nazwano kiedyś krajobrazami społecznemi. Określenie to, słuszne częściowo i pod pewnemi warunkami, trafnie ujmuje tę właściwość pisarza, że w jego wizji artystycznej środowisko występuje, jako główny motyw twórczy. Oddzielne postaci stanowią tylko szczegóły krajobrazu, są jednak najdokładniej portretowane w tych swoich rysach, gestach, ruchach czy drgnieniach, które najlepiej odbijają charaktery, temperamenty i wnętrza ich dusz, wyrażających się wszak przedewszystkiem przez czyn i słowo. Akcja i rozmowa, jak w dramacie, są zasadniczemi środkami, przez które w powieściach Berenta kształtuje się wątek epicki, narastający w szeregu dynamicznie odtworzonych sytuacyj, wprowadzających czytelnika bez poprzedniego przygotowania w bezpośrednie obcowanie z postacia-

mi utworu i z wzajemnemi ich między sobą stosunkami. W chwili wystąpienia Berenta wyłącznie dramatyczna ekspresja dzieła epickiego, nadająca mu właśnie odrębny charakter, była w technice powieściowej nowością, która jeszcze i zwłaszcza w „Oziminie" niepokoiła ówczesnego czytelnika. Ten styl dynamiczny, wysunięty dopiero później przez ekspresjonizm, w powieści polskiej rozwinie następnie na swój sposób Kaden - Bandrowski. Berent wprowadził ów styl samodzielnie i niezależnie od panujących prądów literackich, odrazu przytem w formie całkowicie dojrzałej.

Postaci w powieściach Berenta, w swoich charakterach świetnie zaobserwowane i najplastyczniej odtworzone, stanowią jednak objektywizację myśli pisarza. U podstawy wizji artystycznej Berenta leży zawsze zagadnienie ideowe. W pierwszej jego powieści p. t. „Fachowiec" (1898), budową nie odbiegającej jeszcze od wzorów tradycyjnych, motywem konstrukcyjnym jest sprawa bezwzględnego podporządkowania się jednostki wskazaniom społecznym. Krańcowe konsekwencje, wyprowadzone z doktryny demokratyczno-pozytywistycznej, łamią idealistę, na samym sobie boleśnie doświadczającego haseł t. zw. pracy organicznej. W „Próchnie", które nazwaćby można monologją zorkiestrowaną na głosy, występuje antynomja między sztuką a życiem na tle dekadentyzmu wielkomiejskiej cyganerji artystycznej. W „Oziminie", którą próbowano określić jako powieść w stylu dramatu klasycznego, obraz salonu warszawskiego w chwili wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej staje się, jak chałupa bronowicka w „Weselu" Wyspiańskiego, przekrojem całego społeczeństwa polskiego z jego tragicznym marazmem w danej chwili dziejowej.

Trzy te pierwsze powieści Berenta, będąc niejako historycznemi dokumentami trzech następujących po sobie faz tej samej epoki, są obrazami rzeczywistości społecznych odtworzonych w potężnych skrótach wizji artystycznej, lecz równocześnie i przedewszystkiem są zmaganiem się myśli pisarza z różnemi odmianami życiowej apatji, próbami zgłębienia do dna zagadki człowieka w jego socjo-psychologicznej oczywistości. W „Żywych Kamieniach", trafnie porównywanych do tumu gotyckiego, na tle schyłku średniowiecza, odmalowanego z dogłębną wnikliwością w ducha epoki z jej zwyczajami i obyczajami, dał Berent powieść o duszach tułaczych i ducha człeczego wiecznym niepokoju. Goljarda z gromadą wagantów przeciwstawiając „acedii" uregulowanego życia mieszczańskiego, rozwinął tę samą myśl, o której pisał w komentarzu do „Próchna", że „błądzący duch jest bądź co bądź więcej wart od sennego i upartego", a na marginaljach „Oziminy", że „życie wokół zwycięskie nad śmierć każdą świętsze!" Walka z duchowym bezwładem i zew o wolę mocy są też przewodniemi wątkami myślowemi nowej Berenta powieści z epoki legjonów napoleońskich p. t. „Wywłaszczenie Muz", znanej narazie z fragmentarycznych pierwodruków w czasopismach w latach 1931—1932.



WACŁAW BERENT

Motyw ideowy w twórczości Berenta występuje tem kategoryczniej, że dla niego — jak sam wyznał w komentarzu do „Próchna" — „sztuka jest najostatniejszą potrzebą ducha", „nieraz fatalistyczną wprost koniecznością wgłębiania się całą siłą myśli i uczucia we wszystkie wrażenia, objawy i w samych siebie, a więc we wszystkie przekazane wartości, normy, dogmaty i wierzenia". Każde jego dzieło jest właśnie wyrazem tragicznego przezwyciężania zastanej rzeczywistości, którą odczuwa on sam z wrażliwością o skali najszerzej rozpiętej i najsilniej napiętej, przetrawia ją myślowo i duchowo się z nią zmaga. Taka postawa moralna musi prowadzić do teatralizacji życia, które w wizji twórczej wyolbrzymia się w kształty o posągowych wymiarach. Rzeczywistość, widziana równocześnie podwójnie: oczami myśliciela i oczami artysty, przetwarza się w konstrukcję, w której bystra, śmiała i dokładna obserwacja realistyczna ściśle podlega idei przewodniej i zamiarowi twórczemu, ale zarazem wybitnie emocjonalny stosunek do życia i jego najistotniejszych zagadnień nie dopuszcza do jakiegokolwiek kwietyzmu. Sztuka wżera się w życie, a życie zalewa sztukę. Mistrzostwo stylu pisarskiego Berenta wynika przedewszystkiem z doskonałego wytrzymania umiaru i równowagi na szczytami biegnącem pograniczu, na którego powichrzonej linji spiętrzone życie hartuje się w ogniu bezkompromisowej sztuki.

O języku Berenta rzecby można, iż jest on zarazem z ducha muzyki i z ducha rzeźby. Oddaje nim pisarz najsubtelniejsze drgnienia duszy ludzkiej i najnieuchwytniejsze szmery dźwięków, najśmielsze porywy myśli i najżarliwsze czy najtajniejsze stany uczuć, najrozmaitsze: najprostsze czy najwymyślniejsze kształty. Z powodu składni zdania, budowanego — zwłaszcza w „Żywych Kamieniach" i „Wywłaszczeniu Muz" — celowo w sposób sztuczny, odbiegający od mowy codziennej, styl Berenta bywa nazywany barokowym. Określenie to mało szczęśliwe wypadło powtórzyć w braku innego. Natomiast bezsporną właściwością stylu Berenta jest aforystyczność, wypływająca z tej samej przyczyny o dwojakiem obliczu. Z jednej strony najwyższa dbałość o pełnię artystycznego wyrazu w oryginalnie pomyślanej, najlepiej zastosowanej i najdoskonalej przeprowadzonej konstrukcji twórczej. Z drugiej zaś najwnikliwsze wczucie się sercem, myślącem w człowieka i najdogłębniejsze przetrawienie mózgiem czującym zagadki ludzkiego bytu.

Kazimierz Czachowski

P. S. „Pisma" Wacława Berenta wychodzą od stycznia b. r. nakładem Gebethnera i Wolffa w Warszawie. Wydane już pierwsze tomy, zawierające „Fachowca", „W puszczy" i „Próchno", zalecają się bardzo korzystnym wyglądem zewnętrznym przy cenie stosunkowo przystępnej, a w przedpłacie na raty miesięczne nawet taniej. W ostatnich tomach VIII i IX ukaże się poraz pierwszy w wydaniu oddzielnem nowa powieść Berenta: „Wywłaszczenie Muz". Co do metody wydawniczej nasuwa się jedno zastrzeżenie, mianowicie brak zwięzłych przypisów informacyjnych o datach napisania i pierwodruku poszczególnych utworów. Przy „Próchnie" pominięto motto z Frycza-Modrzewskiego, a pożądany byłby też przedruk listu-komentarza, ogłoszonego przez autora w „Chimerze". Braki te łatwo będzie uzupełnić na kilku końcowych kartkach ostatniego tomu „Pism".

GORĄCZKA ZŁOTA W LONDYNIE



ULICA PRZED GIEŁDĄ

Fot. „London News"

(s.) Tak wyglądała Thormongton Street, ulica w City londyńskiem, przy której mieści się giełda, w sobotę dn. 4 lutego o godzinie 1-ej popołudniu.

Zazwyczaj w soboty o tej porze City jest już wyludnione. Żaden szanujący się bankier czy makler giełdowy nie pokaże się w pobliżu swego biura po sakramentalnej godz. 12-ej, kiedy rozpoczyna się „week-end".

Ta sobota była jednak wyjątkowa. Po zamknięciu giełdy długo jeszcze odbywał się handel akcjami kopalń złota, które podskoczyły w trójnasób w ciągu kilku dni. Powtórzył się „Kaffir Boom" — haussa afrykańska — z okresu przed kilkudziesięciu laty, kiedy wykryto w Południowej Afryce przebogate złoża złota.

Dzisiejsza „haussa" nie jest wywołana wykryciem nowych bagactw podziemnych, lecz odstąpieniem waluty Unji Południowo-Afrykańskiej od równi złota. Złoty pieniądz w dominjum afrykańskiem obok pieniądza zdeprecjonowanego w metropolji angielskiej i innych dominjach był bardzo dla gospodarki Unji niekorzystny: powodował zalew taniemi towarami angielskiemi i emigrację kapitałów na lepszy zarobek do krajów o tańszej walucie.

Kraj, produkujący najwięcej złota, odstąpił tedy od „gold standard'u", aby ratować swój dobrobyt. Funt afrykański zrównał się z funtem angielskim, a cena złota, wyrażona w funcie, podskoczyła o 30%. Odpowiednio skoczyły i dochody kopalń — a co za tem idzie, ceny akcyj.



TYDZIEŃ ŚWIATA

Jubileusz uczonego

(F.) Uniwersytet wileński uroczyście obchodzi w tygodniu bieżącym jubileusz pięćdziesięciolecia pracy literackiej prof. Marjana Zdziechowskiego, znanego badacza prądów ideologicznych wieku XIX. Wielkiem powodzeniem i frekwencją cieszyły się jego wykłady na wszechnicy krakowskiej. Gromadziły one nietylko młodzież, lecz i dorosłych, szukających w analizach prof. M. Zdziechowskiego wyjaśnień wielu duchowych spraw Europy przedwojennej. Książki jubilata nie były nigdy lekturą popularną, choć zawierały wiele przenikliwych myśli. Wymienić należy najbardziej cenione, jak „Byron i jego wiek", „Mesjaniści i słowianofile", „Pesymizm, romantyzm i podstawy chrześcijaństwa".

Po wojnie prof. Marjan Zdziechowski napisał syntetyczną rozprawę o ideach Stanisława Brzozowskiego p. t. „Gloryfikacja pracy". Duży rezonans wywołała jego książka o Napoleonie III. W roku ubiegłym żywo komentowano historję stosunku Napoleona I do Chateaubrianda, źródłowo opracowaną przez jubilata.



Prof. Marjan Zdziechowski

W uznaniu wielkich zasług senat uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie przyznał prof. Marjanowi Zdziechowskiemu tytuł doktora filozofji honoris causa. Towarzystwa naukowe, literackie i społeczne całej Polski pospieszyły z wyrazami uznania i hołdu.

Pan na Miłosławiu

(Old) Na chodniku przed hotelem „Bazar" w Poznaniu znaleziono zwłoki właściciela dóbr Miłosław, miljonera, mecenasa sztuki i literatury, Władysława Kościelskiego z roztrzaskaną czaszką. Wyleciał on z okna 3-go piętra. Nieszczęśliwy wypadek czy samobójstwo? Za pierwszą hipotezą przemawia niepozostawienie żadnych listów do rodziny, oraz brak jakichkolwiek przygotowań przedśmiertnych, za drugą — silna neurastenja, na jaką cierpiał zmarły od dłuższego czasu.

Ś. p. Władysław Kościelski, przedstawiciel znanego rodu wielkopolskiego, dziedzic olbrzymiej fortuny, pozostawionej mu przez ojca Józefa, literata i wybitnego parlamentarzystę, który podczas ery Capriviego odegrał doniosłą rolę, sam poeta, tłumacz Goethego, esteta i bibliofil, dał się poznać Warszawie podczas wojny, gdy jako oficer rezerwy otrzymał przydział w biurze cenzury okupantów. Ale pod mundurem pruskim biło serce polskie. Młody lejtenant, posiadający znane nazwisko, rozległe stosunki osobiste i olbrzymi majątek, wyświadczał niezapomniane usługi prasie polskiej, często narażając się swoim szefom.

Po wojnie, ożeniwszy się z artystką warszawską, p. Moniką Krystyńską, ś. p. Władysław Kościelski poświęca się pracy kulturalnej, podejmując akcję wydawniczą na szeroką skalę. Wykupuje z rąk niemieckich świetnie urządzone zakłady graficzne w Bydgoszczy, tworzy w Warszawie Instytut Wydawniczy i wzorową, nowocześnie urządzoną księgarnię, p. n. „Bibljoteka Polska", inauguruje cenne wydanie klasyków polskich, objęte ogólną nazwą „Bibljoteki Narodowej", zakłada miesięcznik artystyczno-literacki p. t. „Pamiętnik Warszawski", odnawia i urządza stylowo stary dom u wylotu ul. Świętojańskiej na plac Zamkowy, tworząc tam prawdziwą siedzibę patrycjuszowską.

Na nic nie szczędzi pieniędzy, snuje wielkie plany, angażuje się w kosztowne imprezy. To podkopuje magnacką fortunę w związku z kryzysem rolnym i niepowodzeniem na różnych polach. Trzeba niektóre przedsięwzięcia likwidować, inne odstępować, lub kurczyć. Piękne zamiary nie wytrzymały próby życia. Ś. p. Władysław Kościelski zmuszony był wyprowadzić się z Warszawy, powrócić do Miłosławia i z Parnasu zejść do trosk gospodarstwa rolnego. Te zawody i trudności wywołały zapewne rozstrój nerwowy, do którego oddawna miał skłonności. Życie estety i mecenasa literatury skończyło się tragicznie. Osierocił żonę i 13-letniego synka. Zmarł licząc zaledwie 46 lat, pozostawiając ogólny smutek i żal po niespełnionych marzeniach.



Ś. p. Wł. Kościelski

Biały tydzień

(Wig.) Mieliśmy „Biały tydzień" — i to nietylko u Jabłkowskich, u Hersego i w pomniejszych składach bieliźniarskich, lecz także na szpaltach pism, świecących bliznami z powodu procesu brzeskiego i kończącej się dyskusji budżetowej w Sejmie.

Ale te białe plamy mają zniknąć. Nowoopracowany bowiem projekt ustawy prasowej zabrania, podobno, pozostawiać puste miejsce po skonfiskowanych przez cenzurę ustępach, aby nie nasuwać czytelnikom zdrożnych myśli, że w Polsce niema wolności słowa. Piszemy „podobno", gdyż nie sposób otrzymać autentycznego pełnego tekstu projektu prasowego uchwalonego przez Radę Ministrów. Z Prezydjum Rady Ministrów już wyszedł do Sejmu, i to tak gruntownie, że ani jednego egzemplarza nie zostało, a do ulicy Wiejskiej jeszcze nie doszedł. Więc musimy kontentować się streszczeniem, dostarczonem przez agencję półurzędową, które — poza „kaskadową odpowiedzialnością" i zakazem „białych plam" — przedstawia nowe przepisy prasowe wcale ponętnie.

When 'FLU is suspected — take GENASPRIN The SAFE BRAND

Sunday Express

Founded by LORD BEAVERBROOK.



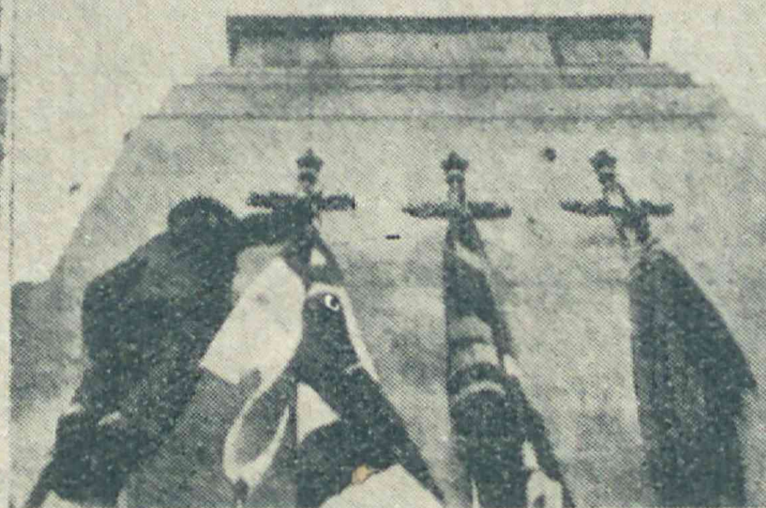
WERE YOU BORN IN FEBRUARY? SEE PAGE SEVEN.

NO. 737. LONDON, FEBRUARY 12, 1933. TWOPENCE.

WHAT HITLER WILL DEMAND.

(1) Revision Of The Peace Treaty: (2) A Close Watch On French Armaments: (3) Restoration Of The Polish Corridor: (4) No Return Of The Kaiser: (5) A New German Colonial Empire.

CHANGING THE FLAGS AT THE CENOTAPH



Few people know that the flags at the Cenotaph are changed on the 11th of each month, with the exception of the months of July and December, at 8 a.m. On Armistice Day alone they are changed at 6.30 a.m. When the flags are no longer fit for re-use they are sent to the Curator of the Imperial War Museum.

We Are SLAMMING THE DOOR ON THE FOREIGNER.

AND OPENING IT TO THE EMPIRE.

STRIKING revelations of the change in the direction of Britain's trade with the world are indicated in the Board of Trade returns for January, which were made available last night.

Britain's imports from Empire countries totalled £249,000,000, as against £247,400,000 in the previous year, an increase of £1,600,000. In the same period our purchases from foreign countries fell by no [illegible]

The Saar Disaster Death Roll.

Last night it was announced that the casualties from the gasometer explosion which wrecked the town of Neunkirchen, in the Saar, were:—

150 dead.
300 seriously injured.
1,000 slightly injured.

The full story of the disaster is on Page 15.

First picture telephoned from the devastated area is on Back Page.

A STOPPED WEDDING.

AND A HAPPY SEQUEL.

NEW BRIDEGROOM.

"OTHER AFFAIR IS FORGOTTEN."

A MYSTERY which would have puzzled Sherlock Holmes was recalled yesterday by the announcement of the marriage of Miss [illegible]

Exclusive "Sunday Express" Interview.

By Colonel P. T. Etherton.

GERMANY'S new Chancellor received me at his headquarters, next door to President Hindenburg's palace.

He received me without formality of any kind, and at once plunged into a long discussion on things affecting the welfare of the world.

I led off by asking him what his programme is and what he proposed to do about it. He said:—

"The first problem that Germany and the world must solve, as a preliminary to the return of peace and prosperity, is disarmament. On that every German Government is agreed.

"But we want an honest and clear solution, not one hedged about by complicated talks and conditions.

"The solution of this difficult problem depends largely on the attitude of the Anglo-Saxon nations, and on the weight they are willing to throw into the scale in order to make disarmament something more than a pious hope.

"We in Germany have done our share—and not merely in theory. We have disarmed the largest army in the world so completely that there is practically nothing left.

"BUT—AND ON THIS I FEEL VERY STRONGLY—DISARMAMENT MUST BE ON A FAIR AND EQUITABLE BASIS. EITHER FRANCE MUST DISARM TO THE SAME EXTENT THAT WE HAVE DONE OR WE MUST BE ON AN EQUALITY.



The photograph given by ADOLF HITLER to Colonel Etherton.

be made to realise that the conditions imposed in 1919 are no longer equitable or even possible.

"As for any action that France may take, that is a situation we can meet when it comes. The point is that the treaty is unjust, and we want to see it altered.

"Some revision is rendered all the more essential by the continuous increase in French armaments.

"OTHER COUNTRIES AS WELL AS OURSELVES MUST BE SURPRISED AT THE AMOUNT OF MONEY THAT FRANCE HAS AT HER DISPOSAL — MORE, APPARENTLY, THAN SHE KNOWS WHAT TO DO WITH.

"Why all this expenditure on armament?

"I demand that the security of the individual nation shall be assured to the extent dictated by its surroundings and immediate reasonable needs.

"We have the right, by agreement with the League of Nations, to insist on this security as far as Germany is concerned, and we are going to do it.

"The present state of affairs is without parallel in the history of the world.

"In 1814 the Allies, including England and Prussia, united against an attempt to force Europe under a French hegemony, and they broke Napoleon's imperial rule. But nobody ventured to claim that France should for all time be regarded as a beaten enemy, should be held down, and deprived of her natural rights.

"The whole position to-day is iniquitous. We have the right to be treated with common justice.

"Another hideous injustice to Germany is, of course, the Polish Corridor. The present position is hateful to all Germans.

"I FEEL THAT IN VIEW OF THE GERMAN POPULATION INVOLVED, APART FROM OTHER ISSUES, THE POLISH CORRIDOR MUST BE RESTORED TO US.

"Apart from the treaties, there is nothing more unjust or more repugnant to the German nation [illegible]

THE GIRL WHO WANTED A CRUISE.

FATHER FLIES TO "GIB." AFTER HER.

AND TAKES HER OFF THE SHIP.

"Sunday Express" Special Correspondent.

CAMBRIDGE, Saturday.

This is the story of the adventures of Kathleen Rogers, one of the most beautiful girls in Cambridge.

"Kitty" is the nineteen-year-old daughter of a local doctor. She has, for some time, acted as personal secretary to her father, who has an extensive practice.

She determined to have a holiday. She tried to persuade her mother to take her for a cruise in the Mediterranean.

Mrs. Rogers decided that she could not face the Bay of Biscay crossing during the winter, but told her daughter that she would take her for a cruise in the spring.

SEARCH FOR SUNSHINE.

Kitty, born in British Burma, and full of British determination, thought otherwise. She meant to see something of southern sunshine.

First of all she went away to spend a few days on the Broads with friends. The next thing her parents heard about her was that she had caught a boat at Tilbury for a Mediterranean cruise.

Efforts were made to intercept her when the boat called at Southampton. But that, luckily for Kitty, owing to the small number of passengers the usual call was not made at Southampton. The first stop was Gibraltar.

Dr. Rogers thereupon decided that it would not be wise for a girl as young [illegible]

(CONTINUED ON PAGE FIFTEEN.)

ANOTHER IRISH RAIL OUTRAGE.

BRIDGE BLOWN UP BY TERRORIST GANG.

There was another outrage on the Irish railways yesterday.

A bridge at Barnesmore, on the Donegal Railway, in the Free State, was blown up. High explosives were used for the outrage, which was carried out by a large party of men.

Donegal railmen are involved in the railway strike.

The bridge spans the river on the line from Ballybofey to Donegal.

Mr. Henry Forbes, manager of Donegal Railway Company, in an interview with a "Sunday Express" representative yesterday, said there was a reign of terror in the country.

"Pickets from six counties," he said, "came into the Free State and endeavoured to intimidate those who remained loyal to the company. At an early hour this morning they threatened railmen and their wives and families."

LATE NEWS

TRAIN WINDOW MYSTERY.

Police are investigating a suggestion that a window in a train travelling from Liverpool street to Romford, Essex, was smashed by a bullet.

A passenger, Mr. S. G. Angell, of Rainham-street, Romford, was cut by flying glass.

Facsimile pierwszej kolumny tygodnika „Sunday Express" z wywiadem prowokacyjnym kanclerza Hitlera

Hitler pozostał Hitlerem

(*V.*) Można było mimo uszu puszczać demagogiczne pogróżki Hitlera — awanturniczego przewódcy partji opozycyjnej. Ale deklaracje kanclerza Hitlera nie mogą pozostać bez odpowiedzi. W wywiadzie, udzielonym angielskiemu pismu „Sunday Express", oświadcza on kategorycznie, że „korytarz polski musi być zwrócony Niemcom". Jest to bezceremonjalne sięganie szefa rządu niemieckiego po ziemie bezspornie należące do Polski. Jest to niesłychany wypadek w dziejach dyplomacji, po którym normalnie powinno nastąpić zerwanie stosunków. Widać nawet obecny integralnie nacjonalistyczny rząd Rzeszy spostrzegł się, że jego szef strzelił głupstwo, bo za pośrednictwem Agencji Wolffa wycofał słowa Hitlera, zwalając winę na korespondenta. Mniejsza zresztą o to, kto mówi prawdę, czy rutynowany dziennikarz angielski, pułk. Etherton, czy niedoświadczony kanclerz niemiecki. Polska tolerować milcząco apetytów na swą własność nie może.

Tylko w głowie takich domorosłych polityków, jak Hitler, może pomieścić się program, którego pierwszy punkt zawiera powszechne rozbrojenie, a drugi — zabór ziemi sąsiada. Czyż Polska może myśleć o przystąpieniu do rozbrojenia wobec zapowiedzi naruszenia jej granic? Jedynym skutkiem oświadczeń Hitlera musi być dalsze i to przyspieszone zbrojenie się, fortyfikowanie granic od strony Niemiec i bliższe zaciśnięcie węzłów z państwami, którym także zagraża rewizjonizm, a przedewszystkiem usunięcie źródeł rozbicia wewnętrznego i osłabienia naszego społeczeństwa.

Przeklęta wojna!

(*skrz*) Właśnie w chwili, kiedy cały kulturalny świat opłakuje zgon Galsworthy'ego, — czytam jego „Świętego", mam przed sobą jeszcze kilka rozkosznych wieczorów...

Akcja tej pięknej powieści rozwija się w okresie wojny. Z każdej strony, z każdego wiersza niemal sączy się głęboka świadomość wielkiego pisarza, że wojna jest najokropniejszem nieszczęściem ludzkości. „Przeklęta wojna! W nieskończonych rzędach małych, szarych domów siedmiomiljonowego Londynu, w olbrzymich kamienicach, w pałacach bogaczy, w urzędach publicznych, w fabrykach i na stacjach kolejowych, gdzie praca trwała nieprzerwanie całą noc w długich szpitalach, gdzie ranni i chorzy leżeli rzędami; w obozach internowanych, w barakach i przytułkach, — nie było jednej głowy,

którąby we śnie czy na jawie mogła się oswobodzić od myśli:

— Przeklęta wojna!"

Nocą nawet sen nie przynosi ukojenia.

„Tu matka wyszepce imię syna. Tam znów kupiec śni, chrapiąc, że ogłaszają mu bankructwo. Jakaś żona obróci się na łóżku, aby wyciągnąć ramiona — w próżnię. A ranny żołnierz zbudzi się ze snu w okopach z kroplami potu na czole. Tysiące ludzi, pozbawionych swych ukochanych, szarpią się w niepokoju, nie mogąc powstrzymać się od westchnień i łkania. Tysiące zrujnowanych patrzy przerażonym wzrokiem w ciemną przyszłość.

— Przeklęta wojna".

I pomyśleć, że kulturalny, pracowity naród niemiecki poddaje się ustępliwie szaleńczej agitacji, która może znów pogrążyć Europę i świat cały w odmęt najokropniejszego nieszczęścia, jakie zna ludzkość.

Manowce handlu

(sg.) Znękany biedą handel warszawski ciągle przeżywa okres pogoni za klijentem. Szuka go wszelkiemi sposobami.

A więc taniością, dostosowywaniem gatunku towaru do liczniejszej, ale mniej wybrednej klijenteli. Słowem, liczenie na masy i na różnorodność zapotrzebowania.

Nowe te prądy wkraczają niekiedy w sferę istnych dziwolągów. W sklepie ma być nietylko możliwie tanio, ale i... możliwie wszystko. A w każdym razie coś na przynętę.

Spotykamy więc w handlu bławatnym — dział z cukierkami, w składzie lamp — ladę z owocami, w składzie mebli — maszyny do szycia, w firmie skórzanej — handel papierosami, u szczotkarza — buciki, u szewca — dział robót włóczkowych. Byle żyć, byle obracać, byle sklepu nie zwijać, jak to już tyle firm w Warszawie dawniej uczyniło i jak stale i ciągle jakaś stara placówka ubywa.

W tej pogoni za klijentem kupiectwo nasze automatycznie wpada jednak w coraz większy beznadziejnie szary szablon. Sklepy czy wielkie, czy małe, coraz bardziej są do siebie podobne. Widać, że towar ma to samo pochodzenie. Różnica tylko w groszach, w cenie. Tu ten sam krawat złoty, obok złoty i groszy dwadzieścia.

Kupiec nie jeździ i nie wyszukuje rzadkich, modnych towarów dla dogodzenia poczuciu smaku i gustu wybrednego klijenta. Towar sam do niego napływa. Byle tanio, byle dużo!

Czy jest to tylko przejściowy objaw kryzysowy, czy też następuje przegrupowanie klas? Jedne warstwy biednieją, inne zaś, same jeszcze nie wydostawszy się z nędzy, tworzą jednak siłę, bo liczebnie wielką masę. I ona kiedyś stanie się wybredną klijentelą. Ale mogą minąć lata, a handel szuka szybkiego i ciągłego obrotu pieniądza. Tymczasem więc byle tanio, byle dużo!

Zbroje naszych czasów

Zamieszczamy poniżej drugą część artykułu inż. Stanisława Płużańskiego, profesora Politechniki Warszawskiej, wykazującego doniosłość rozwoju przemysłu dla zdolności obronnej kraju i konieczność obmyślenia zgóry planu przystosowania go do potrzeb wojennych.

II.

Należyte przygotowanie przemysłu prywatnego do pracy dla wojska może skrócić czas przejściowy wprawy i przygotowań do nowej pracy bardzo znacznie, a temsamem wydatnie przyspieszyć zakończenie wojny. Niedawno zmarły b. prezydent Stanów Zjedn. Coolidge obliczył, że ostatnia wojna kosztowała Stany Zjedn. olbrzymią sumę 100 miljardów $, t j. po 1 miljonie dol. co 8 minut przez około 19 miesięcy trwania działań wojennych. Skrócenie tego czasu o każde 6 dni dałoby wobec tego oszczędność okrągło 1 miljarda dol. Fachowcy amerykańscy twierdzą, że należyte przygotowanie przemysłu dla współpracy z wojskiem pozwoliłoby skrócić czas trwania wojny o całe 6 miesięcy.

Historja wojny europejskiej obfituje w przykłady, wskazujące na zgubne skutki braku należytego przygotowania zaopatrzenia.— Oto niektóre z nich: armja francuska już w jesieni 1914 roku była zagrożona brakiem pocisków działowych, zużycie których było tak olbrzymie, że arsenały i nieliczne prywatne fabryki amunicji były w możności dostarczać zaledwie czwartą część żądanych przez dowództwo armji 40.000 sztuk pocisków dziennie. Wymagania te wzrosły już wkrótce do 80.000, a nawet do 100.000 sztuk dziennie. Wtedy ówczesny minister wojny Millerand zdecydował zwrócić się z żądaniem pomocy do przemysłu prywatnego. Na konferencji w Bordeaux dn. 20.IX utworzono komitety regjonalne, pod przewodnictwem kierowników najpoważniejszych przedsiębiorstw danego rejonu, i przystąpiono z wielkim zapałem do pracy. Pierwsze wyniki w ten sposób zapoczątkowanej mobilizacji przemysłu we Francji były bardzo nieudane, gdyż wyrabiane bez należytej znajomości i często z niezupełnie odpowiedniego materjału pociski przy strzale dawały wybuchy w lufie, niszcząc działa i rażąc ich obsługę. Skutkiem takich wybuchów w krótkim czasie zostało uszkodzonych aż 700 dział. W rezultacie trzeba było aż $2\frac{1}{2}$ lat czasu, ażeby produkcja nieprzygotowanego do tej pracy przemysłu osiągnęła przepisane ilości i jakość amunicji nie ustępującą przedwojennej.

Podobnież potrzeba było aż 16 miesięcy dla zorganizowania wyrobu prochu w ilościach wymaganych przez armję; wyrób ciężkich dział dał wyniki dopiero po 30 miesiącach. Nawet w takiej dziedzinie, jak lotnictwo, w którem Francja przodowała światu, dopiero po 3 latach osiągnięto przewagę nad pozornie słabszem, lecz do celów wojennych lepiej przygotowanem lotnictwem niemieckiem.

Również w Niemczech, gdy zawiódł nadzieje na prędkie zakończenie wojny nieudany, w zawrotnym tempie prowadzony, atak na zachodnim froncie, trzeba było po wyczerpaniu zapasów przystąpić do zorganizowania wyrobu dział, pocisków, broni ręcznej i innego sprzętu w fabrykach prywatnych,— zadania utrudnionego w wysokim stopniu przez blokadę. Toteż trzeba było kilku lat wytężonej pracy całego kraju z nauką i przemysłem na czele dla wynalezienia namiastek zastępujących brakujące surowce i zorganizowania wystarczającego zaopatrzenia armji na froncie.

Najbardziej pouczający przykład wyników nieprzygotowania zaopatrzenia armji widzimy w Stanach Zjedn. podczas wojny światowej. Stany Zjedn., przystępując do wojny po upływie $2\frac{1}{2}$ lat od jej rozpoczęcia, liczyły się ze znacznie dłuższym czasem trwania jej i odpowiednio do tego zakroiły przygotowania na bardzo wielką skalę, jednak wskutek rozpoczęcia tych przygotowań dopiero w chwili wypowiedzenia wojny zmobilizowana

armja amerykańska w 6 miesięcy po wypowiedzeniu wojny, wskutek nieprzygotowania przemysłu do wyrobu sprzętu wojennego, nie miała karabinów maszynowych i rozporządzała zaledwie połową potrzebnych karabinów ręcznych, $^1/_6$ potrzebnych dział, $^1/_{10}$ — amunicji do nich i t. d. Trudności, napotykane przy pracy przemysłu prywatnego, najlepiej ilustruje fakt, że znana wielka fabryka samochodów opóźniła się z dostawą części do dział o 11 miesięcy, z powodu niemożności otrzymania należytego materjału, konieczności wzniesienia specjalnych budynków i wyposażenia ich w niezbędne środki wytwarzania, oraz, w wielkiej mierze, wskutek nieznajomości metod wytwarzania tych części.

Opóźnienia dostaw były tak wielkie, że wiele wyrabianego sprzętu nie zdążyło dojechać na front przed zawieszeniem broni; nprz. tylko 15 płatowców amerykańskich dostało się do Francji, a zaledwie jeden z nich — na front; również ani jeden czołg i ani jedno ciężkie działo amerykańskie, zrobione podczas wojny, nie brały udziału w walkach.

Brak amunicji miał często decydujący wpływ na przebieg walk, np. nie pozwolił wyzyskać Francuzom zwycięstwa nad Marną. Gdyby nie brak przewidywania i wynikające stąd nieprzygotowanie przemysłu do pracy dla wojska, — losy wojny potoczyłyby się zapewne innemi kolejami, a Francja uniknęłaby zniszczenia swych północnych prowincji.

Powyższe przykłady pouczają nas dostatecznie, że należyte przygotowanie w czasie pokoju pracy przemysłu dla potrzeb armji jest koniecznością, gdyż 1) dając dowództwu armji potrzebny sprzęt, przyczyni się do zwycięskiego zakończenia wojny; 2) pozwoli skrócić czas trwania wojny i 3) umożliwi wydatne zmniejszenie wszelkich strat wojennych i wydatków.

Przytoczone przykłady przekonują dostatecznie, że praca przemysłu dla potrzeb wojny musi być zawczasu przygotowana w najdrobniejszych szczegółach, gdyż ryzyko, połączone z improwizowaniem wyrobu sprzętu, a zwłaszcza tak odpowiedzialnych przedmiotów zaopatrzenia, jak broń i amunicja, w nienormalnych warunkach jest zbyt wielkie. To też nauczone doświadczeniem państwa, nawet takie, których granicom nie grozi najazd, poświęcają zagadnieniom mobilizacji przemysłu baczną uwagę, uważając należyte przygotowanie zaopatrzenia armji za najlepszą rękojmię bezpieczeństwa kraju. Do tych państw należą np. Stany Zjedn., posiadające obecnie najlepszy plan organizacji mobilizacji przemysłu, opracowany we wszystkich szczegółach włącznie do gotowych zamówień na przeznaczony do wyrobu w danej fabryce sprzęt.

Opracowanie takiego planu napotyka wielkie trudności z powodu wielostronności i ogromu zagadnienia. Dla zdania sobie sprawy z wielkości, jakiemi trzeba przy tem operować, należy pamiętać, że wytworzenie sprzętu wojennego w zakresie np. uzbrojenia, za sumę 1 miljona zł., wymaga pracy około *425 ludzi w ciągu całego roku*, licząc od wytwarzania surowców, aż do gotowego wyrobu. Zapotrzebowania zaś wojenne, jak wiadomo, sięgają wielu setek miljonów. Przytem wzrost potrzebnej pracy ludzkiej, w miarę wzrostu mechanizacji, jest tak wielki, iż rzeczywiście wytwarzanie sprzętu podczas wojny zatrudni całą ludność literalnie; dość powiedzieć, że wytwarzanie broni automatycznej dla jednego tylko pułku kawalerji niemieckiej wymagało w 1914 r. pracy 4 ludzi w ciągu roku, w 1930 r. zaś już 193 ludzi. Bardzo obficie zaopatrzona w broń automatyczną armja Stanów Zjedn. wymaga dla zaopatrzenia jednego tylko pułku piechoty pracy aż 500 ludzi w ciągu całego roku.

W powyższy sposób obliczony w jednostkach pracy ludzkiej koszt wykonania niektórych wyrobów wojennych przedstawia się, jak następuje:

Krążownik	18.000	ludzi przez rok
Kontrtorpedowiec .	5.400	„ „ „
Łódź podwodna . .	4.000	„ „ „
1 baterja moździerzy 22cm.	990	„ „ „
1 „ haubic 10 cm.	225	„ „ „
1 „ armat 10,5 cm.	495	„ „ „
1 płatowiec	54	„ „ „

Dla porównania można przytoczyć, że tak samo obliczony koszt wykonania jednej lokomotywy wymaga pracy 110 ludzi w ciągu roku.

Należycie opracowany plan mobilizacji przemysłu na potrzeby wojny musi być bardzo wielostronny, gdyż powinien uwzględniać oprócz strony materjalnej zagadnienia, a więc np. zaopatrzenie w surowce i półfabrykaty, energję, środki wykonania pracy, transporty, również stronę finansową, gospodarczą i prawną, wreszcie przygotowanie potrzebnych ludzi. Temu ostatniemu zagadnieniu należy specjalną poświęcić uwagę, gdyż bez przygotowania pracy ludzkiej najlepszy plan zaopatrzenia będzie niezupełny.

Jak widać z powyższego, zagadnienia techniki wojennej, będące dawniej domeną fachowców wojskowych, dziś — wobec konieczności współpracy licznych zastępów specjalistów z różnych dziedzin, domagają się jaknajszerszego spopularyzowania, gdyż tylko człowiek, zdający sobie sprawę z tego, co robi i dlaczego ma robić, tak, a nie inaczej, pracuje wydatnie i dobrze. W uznaniu tej potrzeby powstają we wszystkich krajach organizacje, które przez ćwiczenia, pokazy, obozy i t. p. zmierzają do przygotowania świadomych pracowników dla obrony kraju w razie potrzeby. Takie zapoznanie ludności z możliwościami spółczesnej techniki wojennej wytwarza również, poza wspomnianem przygotowaniem do ew. pracy przy zaopatrzeniu wojska, — zrozumienie zasięgu działania, możliwości i skutków ew. akcji nieprzyjacielskiej, dzięki czemu będzie możliwe uniknięcie paniki i szkodliwego zdenerwowania w czasie wojennym, — czynników niezmiernie utrudniających wytężoną pracę dla armji. Ostatniej okoliczności nie należy lekceważyć, gdyż przyszła wojna będzie niezawodnie ciężką próbą dla nerwów!

Wreszcie popularyzacja techniki wojennej niewątpliwie przyczyni się do pobudzenia wynalazczości na tem polu. Nie zapominajmy bowiem, że podobnie, jak i w dziejach techniki przemysłowej, tak też i techniki wojennej najdonioślejsze nieraz wynalazki nie były dziełem specjalistów; przecież proch wynalazł podobno mnich z Metzu, a jednocześnie żołnierz wynalazł druk; i w nowszych czasach przypadek staje się często ojcem wynalazków, np.: weterynarz Dunlop — wynalazł pneumatyki, dentysta — sposób strzelania przez obracające się śmigło płatowca, wreszcie moździerz używany w okopach — jest wynalazkiem kupca cementu Stokes'a.

Nie należy się łudzić, ażeby jakakolwiek komisja genewska lub inna akcja potrafiła spowodować rzeczywiste rozbrojenie się państw o wysoce rozwiniętym przemyśle, — gdyż dla takiego państwa nawet najściślej przeprowadzone rozbrojenie będzie jedynie przerwą w zbrojeniach, bowiem przy posiadaniu potężnego przemysłu sprawa powtórnego uzbrojenia się będzie tylko kwestją czasu. Zatem państwa, organizujące pogotowie przemysłu dla celów zaopatrzenia armji, najlepiej i najskuteczniej zabezpieczają się przed możliwością utracenia największego dobra narodowego — swej niepodległości.

Inż. St. Płużański,
profesor Politechniki Warszawskiej.

GUSTAW OLECHOWSKI



z kraju bobra i klonu

18) WRAŻENIA Z KANADY (dokończenie)

O MORALNOŚCI I OBYCZAJACH KANADYJCZYKÓW.

Społeczeństwo na tym kontynencie nie ma absolutnie nic z chamstwa, o które europejczycy wczambuł pomawiają wszystkich amerykan. Trudno przecież nazwać chamstwem, że ktoś żuje gumę, lub zakłada nogę na fotel, albo że gwiżdże w tramwaju, lub że w biurze zrzuca przy pracy marynarkę, albo że, witając się na ulicy, nie zdejmuje kapelusza, że nie podaje ręki, chyba przy pożegnaniu się na śmierć, lub że w salonie przedstawiają panie panom. To są obyczaje tego kraju. Wszystko to czyni się z uśmiechem, z uprzejmością, na wesoło, w najlepszej intencji, po przyjacielsku i to nie może nikogo obrazić.

Ale zato nikt tu na nikogo się nie boczy, ani go nienawidzi, ani się kłóci w tramwaju, ani klnie, a gdy kto komu nadepnie na nogę, to obydwaj się uśmiechną i przeproszą gładko. Ludzi zirytowanych, złych, zdenerwowanych ani tu ujrzeć.

Mówiłem już o wielkiej uczciwości codziennej.

Otóż wielkie zbrodnie i nadużycia nie są tu może rzadsze, niż w Europie, ale drobnych przestępstw znacznie mniej, a właśnie te zatruwają życie, utrudniając je i czyniąc przykrem. Żadne kary nie wstrzymają pasjonata czy degenerata od zbrodni, ale wstrzymanie się od drobnych przestępstw świadczy o wysokiej kulturze moralnej, o instynkcie solidaryzmu społecznego. Stanu moralnego społeczeństwa nie mierzy się tem, czy zazdrosny małżonek zabił kochanka swej żony, tylko tem, że szofer oddaje przedmiot zostawiony w samochodzie, że kasjer zwraca dolara, którego wczoraj nie dopłacił przez pomyłkę, że bielizna susząca się na dworze pozostaje na sznurach przez noc i nigdy ani jedna sztuka nie ginie, że zabawka zapomniana przez dziecko na podwórzu czy w ogrodzie nazajutrz leży na tem samem miejscu, że umowa telefoniczna jest równie ważna, jak piśmienna, że niema listu, na któryby się niezwłocznie nie otrzymało odpowiedzi.

Ku pouczeniu prawodawców dodać należy, że nie wrodzona anielskość tutejszych ludzi do tego doprowadziła, lecz bardzo wysokie kary za drobne właśnie przestępstwa, co jest jedynie logiczne, celowe, a dla pewnej kategorji ludzi umoralniające. Że ktoś z zemsty zabił — jest to wielkie zagadnienie psychologiczne. Ale że ktoś mi ukradł parasol, to nie jest żadne zagadnienie, tylko wałkoniowi zachciało się mieć darmo to, co ja musiałem kupić i za to nie tylko powinien mi zwrócić parasol lub jego wartość, ale jeszcze ze dwa lata posiedzieć i to nie w pysznem więzieniu, gdzie dają urlopy wypoczynkowe, tylko w ciężkich robotach, tłuc kamienie na szosach i tą pożyteczną pracą odkupić hańbę. W Kanadzie takiemu panu, który wyrwie damie siadającej do tramwaju woreczek z rąk, choćby w nim tylko była chusteczka do nosa, dają w więzieniu co miesiąc regularne baty, a tych miesięcy przesiedzi liczbę pokaźną.

Stany Zjednoczone, chcąc dokonać wielkiego dzieła odrodzenia ludzi i umoralnienia ich, wprowadziły prohibicję i zrobiły kapitalne głupstwo, bo przesadziły. Zamiast ograniczyć produkcję i handel mocnemi trunkami, a tem stopniowo złagodzić zło, wprowadziły absolutną prohibicję na alkohol, piwo i wina. Kanada tego głupstwa nie zrobiła, bo nie potrzebowała. Przedewszystkiem nie posiada ona ludności murzyńskiej, z której powodu Stany głównie na ten szalony krok zdecydowały się, gdyż murzyn pijany staje się dzikiem zwierzęciem i dopuszcza się zaraz zbrodni, a po drugie nie potrzebowała, bo Kanadyjczycy są wstrzemięźliwi i choć piją, to się nie upijają. Szczególniej w ciągu dnia, w restauracjach, nikt nie pije mocnych trunków. Jakto, w ciągu pracy miałby sobie paraliżować umysł alkoholem, zniedołężniać i zabijać energję! Samobójstwo! Strata czasu!

To samo umiarkowanie w jedzeniu. Ze wszystkich narodów, jakie znam, a znam ich 19, Kanadyjczycy są narodem najmniej jedzącym i najhygienicznej odżywiającym się. Ten zawrotnie bogaty naród jada przynajmniej dwa razy mniej od Polaków i tyleż razy jest zdrowszy i tęższy. A klimat przecież ma surowszy.

Myślę, że może to wielkie umiarkowanie w jedzeniu i piciu, że sporty uprawiane nagminnie, stale, przez wszystkich, od dzieciństwa do starości, w połączeniu z zamożnością i absolutną nieobecnością politykomanji powodują nieznaną w Europie pogodę ducha, równowagę umysłu, przyjacielskość w stosunkach ludzkich, niemal że pewną dziecinną cechę w wesołem traktowaniu spraw życiowych.

Przypuszczam też, że organizacje klubowe życia towarzyskiego muszą bardzo się przyczyniać do przyjaznych i łatwych stosunków między ludźmi.

W każdem mieście są kluby, a w wielkich miastach, miljonowych, jest ich olbrzymia ilość, setki. Globalnie zaliczyć je można do trzech kategorji: towarzyskich, społeczno - politycznych i sportowych.

W klubach politycznych ludzie się jednak nie kłócą, tylko się uczą. Zaprasza się w nich co tydzień prelegenta, który, podczas śniadania — rzecz prosta — by czasu nie tracić, wygłasza mowę na pewien temat aktualny, polityczny,

społeczny lub gospodarczy. Mówca musi traktować przedmiot bardzo konkretnie, beznamiętnie, argumentować rzeczowo i prawdami bezspornemi, by nie wywoływać objekcji i dyskusji. Słuchają go wszyscy nadzwyczaj uważnie, w milczeniu grobowem, z szacunkiem dla jego opinji i pracy, jaką włożył w myślenie i studja, choć często wcale się z nim nie zgadzają. Uważają jednak, że skoro on ich nie przekonał, to i oni jego zdania nie zmienią, więc szkoda czasu na dyskusje jałowe i bezcelowe. Opinje na wiecach formuje się tylko w społeczeństwach prymitywnych. Ludzie poważni formują je na podstawie studjów i obserwacji życia.

Drugą kategorją klubów są czysto towarzyskie na tle wspólnych zamiłowań lub zawodu, dla rozmów, wypicia whisky, zagrania w karty lub w bilard.

Wreszcie trzecim rodzajem są kluby sportowe, zawsze wspaniale urządzone z całem zastosowaniem do danego sportu i wieku klubowców. Więc młodzież ma kluby lekkoatletyczne z salami ćwiczeń, kluby hockeyowe z torem lodowym sztucznym cały rok, pływackie z basenami, tennisowe z zimowemi kortami — i sto innych. Panowie starsi ćwiczą się w klubach golfowych za miastem lub w klubach, poświęconych sportom u nas zupełnie nieznanym, jak curling, lub bowling.

Należąc do jednego z klubów tej kategorji, jechałem raz na zebranie doroczne, niechętnie, przyznam się, bo o ile sport mnie interesuje, o tyle nudzą mnie doroczne sprawozdania, wybory, zatwierdzanie bilansów towarzystwa i temu podobna piła drewniana.

Nie doceniałem wówczas jeszcze amerykańskiego humoru.

Zaczęło się wieczorem o 7-ej, od obiadu oczywiście, jak zawsze skromnego, ale dobrego, z kieliszkiem wina, nic więcej.

Po wypiciu zdrowia króla kanadyjskiego Jerzego Piątego, który rezyduje w Buckingham Palace w Londynie, zaczęły się przy czarnej kawie mowy, bez specjalnego tematu, raczej rozrywka towarzyska, wesołe, dowcipne, anegdotyczne, czasem homeryczne.

Po mowach podano wszystkim broszurki z popularnemi śpiewkami narodowemi, ludowemi, arjami z operetek; muzyk najęty grał, a wszyscy śpiewali chórem.

Gdyśmy się już wyśpiewali, rozdawano nagrody za najlepsze wyczyny w naszym sporcie w ciągu sezonu. Nagrody naturalnie praktyczne, jak neseser podróżny, srebrna maszynka do kawy, serwis i temu podobne.

Wreszcie sprawozdanie roczne. Przygotowałem się na ziewanie, bo było mi absolutnie wszystko jedno, ile pozostało w kasie, co robił sekretarz i kto będzie prezesem na nową kadencję. Tymczasem nigdy się tak dobrze nie bawiłem. Sprawozdania były najeżone dowcipami, iskrzyły się łagodnym sarkazmem, przepysznemi uwagami i humorem pod adresem ustępującego zarządu.

Dano mu votum zaufania i zaczęły się wybory.

— Proszę o stawianie kandydatów, naprzód na prezesa.

— Proponuję Hutchisona.

— Popieram.

— A ja Browna.

Kandydaci wychodzą z sali.

— Kto za Hutchisonem?

Podnosi się 50 rąk.

— A za Brownem?

70 rąk.

— Brown wybrany.

I tak dalej. Czy nie sielanka?

W pół godziny potem rozjechaliśmy się.

Ani jednego pojedynku, ani jednej dysharmonji, ani jednego urżniętego. Cała afera trwała trzy przyjemne godziny.

Trudno jest dać syntezę podstaw, na jakich spoczywa wspaniały rozkwit Kanady. Społeczeństwo tutejsze jest skomplikowane. 20 narodowości, 40 wyznań, najprzeróżniejsze składniki kultur, wrzucone do jednego kotła. Co to da kiedyś? Jest to ta sama zagadka, co w Stanach Zjednoczonych, gdzie 45% ludności nie należy do rasy anglosaskiej. Powstała z kolonji angielskiej Ameryka nie jest bynajmniej angielską na żadnym odcinku życia. Coś podobnego ma się z Kanadą. Dziś jest brytyjską z przewagą kultury anglosaskiej. Ale czem będzie za lat sto? Może francuską, może słowiańską. Ale najpewniej będzie czemś innem i nowem. Kanada się robi.



Uroki Kanady, życie sielskie

JERZY BANDROWSKI

Na swojej kupie kamieni

(NOWELKA)

Było to w sobotę, wczesnem popołudniem.

Pan Wyssogląd, kierownik szkoły w Piaskach — mała osada, 800 mieszkańców, fabryczka, 7 km. do stacji kolejowej, połączenie autobusowe... — właśnie wyszedł był do ogrodu, gdy nagle nadbiegło kilku bosych chłopców, wołając wielkiemi głosami, wibrującemi sensacyjnością, strachem i dumą z powodu ważności nowiny:

— Stary Wawrzon umarł! Stary Wawrzon umarł!

Pan kierownik poskoczył ku sztachetom.

— Gdzie? Co? Jak? — zawołał gniewnie na chłopców, przebiegających pędem koło ogrodu.

— Na swojej kupie kamieni! — odkrzyknął jeden głos.

— Naaa - swooo - jeeeej — dygotał głosik chłoptasia, kłusującego drobno na końcu stadka.

— Mizerski! Stój mi zaraz, bo jak cię! — huknął pan kierownik.

Chłoptaś stanął i wbiwszy w kierownika przerażone oczy, zaczął się usprawiedliwiać:

— Ja — proszpana — nic, ja tylko...

— Widziałeś?

— Ja nic nie widziałem.

— Wawrzona nie widziałeś?

— A, Wawrzona starego to widziałem, proszpana — zapytlował z ożywieniem chłopak. — Leży na swojej kupie kamieni... Muchy mu po twarzy łażą, a on nic... Już nie czuje.

— Gdzie to, gdzie?

— Niedaleko figury... Leży na kupie kamieni...

— Jest kto przy nim?

— Nima nikogo, tylko my byliśmy!...

Pan kierownik rozejrzał się po ogrodzie.

Nic. Kolorowe kule szklane, jak świeciły, tak i dalej świecą upartym żarem gorącego popołudnia; para białych motyli tańczy w powietrzu, ciemna zieleń spuszczonych rolet mocno odbija od żółtej ściany domu, kwiaty kwitną, w dali widać czarną kopułę klasztoru, za nią nieruchome obłoki, wyglądające jak gdyby były z dętego szkła... Wszystko jak było.

Zauważywszy oszołomienie kierownika chłopak drapnął.

Wszystko jak było. Stary Wawrzon umarł. Bo był stary.

Szybkim krokiem idzie pan kierownik w stronę figury. Niesie porwaną po drodze koneweczkę z wodą. Zielona blaszana koneweczka ogrodowa.

Zaraz za szkołą, stojącą na końcu osady, rozwiera się szeroki widok na równinne pola. Pola — i nic więcej. Przy drodze jabłonie, bardzo rodne, ale teraz niepozorne, złoto - zielonemi kuleczkami obsypane gęsto i tyle tego. W dali tu i owdzie drzewa, pochylone w stronę południowego zachodu, rzekłbyś, uginające się pod wichrem, którego niema. Nad szaremi polami żar migotliwy, daleko szare fałdy równi.

Droga. Wielkie słowo. Skąd — dokąd? Droga prowadzi. Dwa słowa, naiwne, jak z abecadła. Nie, za naiwne do abecadła. A jednak, ile w nich treści? Droga! Ile trzeba przeżyć, aby móc należycie to słowo zrozumieć!

Po prawej stronie drogi małe, równe kupki dobrze rozbitych kamieni. Ba! W tłuczeniu kamieni musiał stary Wawrzon dojść do mistrzostwa. Tyle lat! Kamienie porozbijane na kanciaste kamyki, prawie równej wielkości i podobnego kształtu. I *tego* trzeba się nauczyć. Pierwszy lepszy tak nie potrafi. Kto wie, może i do *tego* trzeba mieć wrodzony talent?...

Już widać. Ten łach czerniejący na kupie kamieni, to będzie stary Wawrzon. I figura niedaleko. Rusza się? Może, może!...

Pan kierownik przyśpiesza kroku. Zdyszany staje nad ciałem ludzkiem, leżącem bezwładnie na kupie potłuczonych przez siebie, ostrych kamieni. Co tu gadać? Odrazu widać, że niema już nic do roboty. Starość, serce, upał. Ale na wszelki wypadek pan kierownik pochyla koneweczkę, z której tryskają srebrne, cienkie druciki wody. Obfite krople zmywają szary pył z orzechowej twarzy. Ale ta twarz wcale już tego nie czuje. Nie. Nie jest wrażliwa.

Pan kierownik przytula ucho do piersi Wawrzona i słyszy pulsowanie własnej krwi w skroniach, lecz nic więcej.

Podnosi głowę i patrzy na zwłoki bardzo biedne.

Tyle lat widywał tego człowieka na tym gościńcu, zawsze na jakiejś kupie kamieni, systematycznie kruszącego młotkiem ledwo rozłupane glazy. Gdyby zebrać te wszystkie potłuczone przez niego kamienie, jakażby się z tego góra zrobiła?! I zawsze tak sam, przy drodze, milczący, zamyślony.

Ludzie biegli od osady.

Chwała Bogu!

No, i skończyło się. Więcej już starego Wawrzona nikt przy gościńcu na kupie kamieni nie zobaczy, chyba może w północ księżycową lub gwiaździstą, jako milczące i posępne widmo z młotem w dłoni...

. . . .

Późnem popołudniem przyszedł ksiądz prefekt, bo wieczorem miało się odbyć zebranie miejscowej rady szkolnej. Przyszedł z klasztoru, odległego o pięć kilometrów.

— Pieszo — w taki upał? — zdziwił się pan kierownik.

— Będę wracał o chłodzie — uśmiechał się młody ksiądz.

Zawsze był uśmiechnięty, pogodny, żywy, wesoły. Oczy świeciły mu się do ludzi życzliwie i przyjaźnie, jak dziecku. Pan kierownik lubił go i chętnie z nim gawędził, ale dziś rozmowa się jakoś nie kleiła.

— Co panu jest? — zapytał ksiądz. — Pan dziś jakiś nieswój.

— Wie ksiądz? Stary Wawrzon umarł.

— Wiem. Więc — to? Śmierć? O, mój Boże! To pana wytrąciło z równowagi?

Pan kierownik potrząsnął głową przecząco.

— Nie. Nie to. Śmierć — rzecz zwyczajna, a Wawrzon był stary.

— Więc co?

— Nic. Tylko tak: Przyjechałem tu trzydzieści pięć lat temu. To była moja pierwsza posada. Dziś mam lat pięćdziesiąt pięć. Troje starszych moich dzieci uczy się już po szkołach, dwoje kończy szkoły. Żona nie żyje. A ja jestem zdrów, pracuję i będę pracował, jak długo mi pracować pozwolą.

— Bardzo słusznie! — przyznał prefekt zdziwiony nieco, bo wszystko to było mu znane.

— Kiedy tu przybyłem, ta szkoła już stała taka sama jak dziś. Trzeba przyznać, budynek porządny. Przy gościńcu, ale oddzielona od niego ładnym ogródkiem. Wtedy było to daleko od miasta. Kolej tędy nie szła, trzeba było jechać trzy mile do stacji. To była dziura, może sobie to ksiądz łatwo wyobrazić. W zimie — straszne rzeczy. Ale ja byłem pełen zapału, ideałów — młodzik! Pracowałem do upadłego i wcale nie czułem się źle. Prowadziłem ożywioną korespondencję z kolegami, interesowałem się życiem — w bezpośredniej bliskości i tam, na świecie, jeździłem często do miasta. I wie ksiądz, kiedy się znalazłem między ludźmi miejskimi, wcale nie czułem się ani zacofany, ani zaśniedziały. Przeciwnie, byłem bardzo świeży!

— Naturalnie! — przyznał prefekt.

— Potem ożeniłem się i zostałem tu kierownikiem. Młoda żona, miłość, awans, pewna samodzielność, odpowiedzialność. Tyle szczęścia! Kwiecień czy maj życia. Droga, wiodąca przez nieskończony szpaler kwitnących jabłoni. Dusza też rozkwitła biało. Wszystko było przecudowne, wonne, księżycowe. Ale nie zawdzięczam tego żadnym Piaskom, tylko swojej

młodości. I oczywiście musiało się to skończyć...

— Rozumie się! — potwierdził prefekt.

— Zaczęła się inna historja — mówił dalej kierownik. — Historja cichego domku przy białym gościńcu. Szkoła, plebanja, poczta. Domki w ogródkach z kwitnącym bzem, z irysami, z jaśminem, z piwonjami i różami, z klombami różnobarwnych cyniek, z malwami i daljami w jesieni. Na czerwonych dachach gruchające gołąbki, w głębi sadów parę uli. Bardzo pięknie wygląda to z okien karety, czy auta, gorzej już z okien autobusu, bo ci pasażerowie coś więcej wiedzą o rzekomem szczęściu w tych cichych domkach, no, a ksiądz dobrze wie, jaka to męka.

— O, tak! — westchnął prefekt.

— Choroby, niedostatek, różne walki, kłopoty, jakże złośliwe, upokarzające, poniżające! To chamstwo tego życia, jego niczem nie zasłużona bezwzględność, twarda brutalność w stosunku do człowieka kulturalnego. Nie przebłaga się tego życia ani poświęceniem, ani rezygnacją, ani ofiarami, ani nawet pokorą, ono *musi* na człowieka wylać całą swoją złość, musi go złamać i sponiewierać, nie oszczędzi mu niczego, co tylko może zaboleć, doprowadza do zupełnego stępienia, to znów do histerycznego płaczu. Te zimy, zapamiętałe w swem cierpieniu i w samotności, te tygodnie słoty i szarugi jesiennej... Kto tego nie przeżył, ten nie wie, nigdy nie zrozumie.

Młody ksiądz z rozumiejącem współczuciem pokiwał głową. A pan kierownik opowiadał:

— Miałem przyjaciół i kolegów w mieście, w stolicy. Zazdrościłem im. Szczęśliwcy! — myślałem. — Pracują w samej kuźni kultury, u jej źródła. Mimo, że komunikacja była wtedy bardzo nędzna, jeździłem często. Ale cóż? Pokazało się, że właśnie oni pierwsi zaczęli tracić entuzjazm i zamiłowanie do swego zawodu. „Praca dla idei — to rzecz bardzo ładna, *ale*" — oto zdanie, które coraz częściej w ich ustach się powtarzało. To ich „ale" było wcale duże — kawiarnie, teatr, koncerty, ludzie, choćby tramwaje elektryczne, gdy ja tu z tego wszystkiego nie miałem nic, gdy mnie trzymała przy życiu tylko praca dla idei. Bywało, że dzieliłem się z nimi jakiemś ważnem spostrzeżeniem, jakąś myślą, która była owocem kilkumiesięcznych samotnych przechadzek wieczornych, gościńcem do figury i z powrotem.

— Wiem! Wiem! — uśmiechnął się ksiądz.

— Więc ja im prezentuję taką zdobycz drogą, z pod własnego serca wydobytą, a tu widzę, że im więcej zależy na kolorze krawata, czy na fałdach zaprasowanych spodni. Ja im przywożę żywy kwiat życia, a oni wyciągają mi *zielnik* z zasuszonemi paragrafami, ustawę, regulamin .. A gdy z oburzeniem odpychałem od siebie te rupiecie, klepali mnie z pobłażliwym uśmiechem po ramieniu i nazywali „starym, niepoprawnym idealistą", co brzmiało, jak gdyby mówili „ty stary idjoto!" — Więc przestałem jeździć do miasta. Pracowałem w Piaskach, bo przecie ktoś *musiał* siedzieć w tych Piaskach. Rozumie się, tęskniłem. Ale to już była tęsknota dla tęsknoty. Jak ból głowy — bez konsekwencji. Bywało czasem strasznie źle, nad wszelkie pomyślenie ludzkie, ale — ale... Znalazło się zawsze jakieś „ale", które odejść nie pozwalało... A potem przyszła wojna, a potem robota serdeczna, od nowa, na własnych fundamentach... no i tak. Trzydzieści pięć lat tu przesiedziałem. W Piaskach. A drugi raz już się nie urodzę.

Pan kierownik umilkł.

— Nie rozumiem pana! — odezwał się po chwili prefekt, nieco zdziwiony.

— Ot, refleksja z powodu śmierci starego Wawrzona. Ksiądz wie, znaleziono go przed kilku godzinami martwego na kupie kamieni przy gościńcu... Byłem tam... Wracając, zobaczyłem tę swoją szkołę — również kupa kamieni przy gościńcu... I to samo rok w rok obciosywanie zakutych głów... Niebardzo to się różni od tego, co robił nieboszczyk Wawrzon... I tak samo pewnego popołudnia skończę na przydrożnej kupie kamieni.

— Więc? — trochę ostro zapytał prefekt.

— Tyle męki, trudów, nauki, doświadczeń, samozaparcia się, tyle wysiłków, taka egzaltacja ofiary i poświęcenia, tyle fajerwerków entuzjazmu, — a w gruncie rzeczy, czyż to nie to samo, co zrobił stary Wawrzon?

Prefekt roześmiał się.

— Niech pan spojrzy teraz na klasztor! — rzekł. — Jaki wspaniały, potężny, imponujący! Jego kopuła trzysta lat już panuje nad tym krajem. A w gruncie rzeczy — czy to nie to samo, co pańska szkoła? A to, co się w nim dzieje — kruszenie twardych dusz i kamiennych serc — czyż to nie to samo, co robił stary Wawrzon? I tak samo pewnego popołudnia na tej przydrożnej kupie kamieni...

Umilkł, bo huk przejeżdżającego autobusu zgłuszył jego głos.

Kiedy kierownik spojrzał po chwili na księdza, ten się śmiał.

— Co w tem śmiesznego? — zapytał stary nauczyciel.

— Niewdzięczny pan! — odpowiedział ksiądz. — Niewdzięczny! Droga, a przy niej zwłoki człowieka na kupie kamieni.. Dał panu Bóg cudowne widzenie głębokiego skrótu dziejów całej ludzkości od początku do końca świata, dał panu w jednej wizji przepotężny, olbrzymi poemat — a pan się na nim nie poznał, pan go nie zrozumiał, pan go odczytać nie potrafił.

Kierownik, poprawiając okulary, zdziwiony, przyglądał się księdzu...

ŻYCIE GOSPODARCZE

P. K. O. W ROKU 1932

Na tle ogólnego kryzysu, narzekań i niepowodzeń miło jest odnaleźć instytucję gospodarczą, która nietylko nie poddała się ogólnej depresji, lecz wbrew oczekiwaniom wykazuje ciągły i szybki rozwój pod każdym względem. Instytucją tą jest P. K. O.; we wszystkich dziedzinach swej pracy może ona pochwalić się w ubiegłym — 1932 roku — doskonałym rezultatem.

Zacznijmy od właściwego jej przeznaczenia — dokonywania obrotu czekowego, w szczególności bezgotówkowego. Zdawałoby się, że w czasach stagnacji, bezrobocia, ogólnego braku zaufania — obrót czekowy zmniejszy się. Tymczasem osiągnął on w r. ub. zawrotną sumę 22 miljardów zł., w czem bezgotówkowego było 14,7 miljardów czyli 68% ogólnego obrotu czekowego P. K. O. Ciekawe, że obrót bezgotówkowy w porównaniu z obiegiem pieniężnym stale wzrasta i tak w roku 1926 wynosił 55% obiegu pieniężnego, w r. 1927 — 67%, w 1928 — 74%, w 1929 — 78%, 1930 — 80%, 1931 — 82%, 1932 — 90%. Można przewidywać, że w ciągu 2 — 3 lat najbliższych obrót czekowy zrówna się z obiegiem pieniężnym, a może go i przewyższy.

Drugiem nie mniej ważnem zadaniem P. K. O. jest wytwarzanie wewnętrznej kapitalizacji. Pod tym względem stanowi ona największą instytucję oszczędnościową w Polsce. I znów — mimo złego roku, roku zastoju i zubożenia — wzrost kapitałów oszczędnościowych był największy z notowanych dotychczas, podnosząc je o 115,4 miljonów i doprowadzając ogólny stan wkładów wszystkich typów do 444,8 miljon. zł., a łącznie z wkładami czekowemi do 622,8 milj.

Jako objaw szczególnie radosny zanotować należy, że suma ta składa się z drobnych wkładek. Stajemy się więc powoli krajem drobnych ciułaczy; przybyło ich w r. ubiegłym, po potrąceniu ubyłych, — 195 tysięcy! Przeciętny wkład jest bardzo mały — 467 zł. Świadczy to o rozwoju zmysłu oszczędnościowego wśród szerokich mas społeczeństwa.

Niedawno istniejący dział ubezpieczeń na życie wykazuje także pomyślny rozwój; wydano w ciągu roku ub. 36.148 nowych polis na łączną kwotę 52 miljon. zł.

Zebrane z trzech powyższych źródeł pieniądze P. K. O. lokuje w papierach kredytu długoterminowego, zakupując listy zastawne Państw. Banku Rolnego lub Banku Gospodarstwa Krajowego, w pożyczkach pod zastaw papierów wartościowych, w dyskoncie weksli, wreszcie w nieruchomościach. Wartość ich stanowi obecnie 39 miljonów zł.

Największe jednak sumy P. K. O. umieściła w listach Banku Rolnego — 84 miljony, przeszło 1/3 emisji tego banku, oraz w listach i obligacjach B G K. — 185 miljonów, wreszcie w innej formie kredytu długoterminowego — 154 miljony.

Mimo tak poważnych lokat długoterminowych środki płynności P. K. O. są utrzymane na wysokim poziomie; sama tylko gotówka w kasach i zbiornicach, tudzież w Banku Polskim wynosiła 31.XII. 1932 r. przeszło 176 mil. zł., co stanowiło 27% natychmiast płatnych zobowiązań.

Bilans swój za r. 1932 zamknęła P. K. O. czystym zyskiem 5 miljonów zł. Byłby on jeszcze o 2½ miljona większy, gdyby nie zniżono oprocentowania listów zastawnych Banku Rolnego i Tow. Kredytowych Ziemskich o 2%, dzięki czemu pokaźnie odciążono warsztaty rolne.

B. Ż.

WARSZAWA WCZORAJ I DZIŚ

ULICA KRÓLEWSKA. KOŚCIÓŁ EWANGELICKI



Widok ulicy Królewskiej według obrazu Zygmunta Vogla (koniec XVIII w.)



Widok kościoła ewang.-augsb. w Warszawie w r. 1781 według Zygmunta Vogla

Spojrzawszy na jeden z obrazów Zygmunta Vogla, przedstawiający niewielki dworek, wzniesiony niemal na pustkowiu, niepodobna się domyślać, że jest to widok ulicy Królewskiej. Ani śladu ogromnych kamienic, nic nie wskazuje, że to centrum miasta. Ot, poprostu jakiś prowincjonalny zaułek, jakie dziś jeszcze często spotykamy w zachowanych dobrze zakątkach kraju.

Ulica Królewska jeszcze w XVII w. stanowiła wąską drogę, prowadzącą do miasteczka Grzybowa. Pierwotnie nazywano ją Ossolińską, gdyż zaczynała się przy pałacu, należącym do tej rodziny. Dzisiejszą nazwę otrzymała dopiero za Augusta III, po założeniu Ogrodu Saskiego, oraz od pałacu i domów, należących do posiadłości króla. Od tego też — czasu zaczyna zmieniać charakter wiejskiej drogi na ulicę. Przy końcu XVIII w. powstają wzdłuż niej wille i pałace Byszewskiego, Dębowskiego i Bielińskiego. W latach późniejszych zabudowuje się dość szybko domami dochodowemi, a główną jej „ozdobę" stanowi pozbawiony gustu pałac Kronenberga i milszy dla oka niemal bezpośrednio położony gmach Zachęty, oraz Giełda. Ze względu na bliskie sąsiedztwo z pl. Grzybowskim i Żelazną Bramą, stała się ona ulicą handlową, zwłaszcza w ostatnim swoim odcinku, za ul. Marszałkowską.

Gmina Ewangelicka w Warszawie, przez wiele lat czyniła bezskuteczne starania, aby uzyskać pozwolenie na budowę świątyni. Starania te spotykały się ze sprzeciwem kół katolickich, i dopiero sejm Czaplicowy, jak również nacisk ze strony Rosji, a głównie stanowisko księcia Repnina roztrzygnęły sprawę na korzyść dyssydentów.

W r. 1767 nabyto plac przy ul. Królewskiej i wybudowano na nim prowizoryczną, drewnianą szopę, w której pierwsze nabożeństwa zaczął odprawiać pastor poselstwa duńskiego, Jakób Scheydenmantel. W dziesięć lat potem, gdy liczba ewangelików w Warszawie wzrosła do 5.000, bankier Piotr Tepper otrzymał od króla Stanisława Augusta pozwolenie na budowę kościoła. Dzięki pomocy materjalnej Teppera, Pawła Kintzla, króla angielskiego, królowej pruskiej Luizy, Carycy Katarzyny II, oraz innych osób, nabyto nowe plac i zamówiono plany u budowniczego Szymona Bogumiła Zuga. Hojny dar, w postaci 7000 funtów miedzi na pokrycie dachu złożył komitetowi budowy król szwedzki Gustaw III. Miedź tę wraz z dzwonami zrabowali w czasie okupacji Niemcy.

Dnia 24 kwietnia 1777 roku rozpoczęto budowę, a ukończono ją 30 grudnia 1781 r. Dnia 4 maja 1778 r. odbyła się uroczystość położenia kamienia węgielnego w tem miejscu, gdzie znajduje się obecnie ołtarz. Budową interesował się ogromnie król Stanisław August, który kilkakrotnie oglądał postępy prac i kazał pokazać model kościoła, nie szczędząc pochwał dla jego twórcy.

W pewnym okresie robót, członkowie zboru znaleźli się w kłopotach finansowych i niewiele brakowało, aby przerwano prace. Z pomocą przyszła królowa Luiza, spłacając długi z prywatnej szkatuły. Wreszcie pokonano wszystkie przeszkody i otwarto uroczyście świątynię, wzbogacając Warszawę nowym, pięknym gmachem. Kościół w kształcie rotundy o czterech przystawach i tyluż kolumnach doryckich u wejścia, zakończony wielką kopułą, na której wznosi się otoczona galerją latarnia, robi wrażenie bardzo skromne i proste, lecz nad wyraz estetyczne. Pod względem architektonicznym odbiega od stylu stanisławowskiego i jest niejako pierwszą jaskółką, zapowiadającą noe-klasycyzm z czasów Królestwa Kongresowego. Również wnętrze świątyni cechuje ta sama surowość i prostota, oraz umiarkowanie ornamentacyjne tak obce kościołom katolickim i prawosławnym. Składa się ono z dwóch pięter z galerjami o kolumnach jońskich i toskańskich. Największą ozdobą jest obraz Bogumiła Schiffnera w wielkim ołtarzu, przedstawiający Chrystusa w Ogrójcu.

Z biegiem lat rozwój ulic Królewskiej, Marszałkowskiej i obecnej Kredytowej zepsuł perspektywę kościoła i przyćmił jego monumentalność. Zwolna wyrastać zaczęły wielkie i brzydkie kamienice czynszowe, otaczając zwartem kołem świątynię, która niemal zniknęła w kompleksie ciężkich gmachów i dziś widoczna jest zaledwie częściowo od placu Małachowskiego i wąskiego zaułka od ulicy Królewskiej. Główne wejście zasłania znacznie gmach Tow. Zachęty.

W roku ubiegłym w maju, kościół ewangelicki w Warszawie obchodził uroczyście 150-lecie otwarcia największego i najpiękniejszego swego domu modlitwy w całej Polsce.

j. s. w.



Obecny widok ulicy Królewskiej



Widok dzisiejszy kościoła ewang.-augsb. w Warszawie

Fotografje Marjana Fuksa (1933 r.)

Świat książki

OSTATNI FILM EVY EVARD

„Żółty Krzyż", znakomita powieść Andrzeja Struga, wzbudził szerokie zainteresowanie już wtedy, gdy drukował go „Świat" przez parę lat z rzędu. Obecnie po „Tajemnicy Renu" i „Bogach Germanji" ukazał się tom trzeci tego utworu p. t. „Ostatni Film Evy Evard". Napięciem sytuacji dramatycznych tom ten przewyższa wszystko, co znamy w beletrystyce, wyrosłej ze straszliwych zmagań wielkiej wojny. Zawiera sceny o wstrząsającej potędze wyrazu, transformuje psychikę ludzką. Kulturalny czytelnik, śledząc przebieg katastrofy życiowej pięknej gwiazdy filmowej, Evy Evard, interesuje się niemniej i zmianami w duszach profesora Wagera, kapitana Despaix, von Sendena. Losy tych trzech ludzi chwilami przesłaniają zupełnie wydarzenia życia Evy. Andrzej Strug z postaci prof. Wagera wydobył niesamowity patos rzeczywistości i tragedji. Scena w kościele należy do niezwykłych literackich przeżyć!

Wielki chemik prof. Wager, chcący swemi wynalazkami wytruć całe armje, odprawiony przed kilkoma miesiącami z kwitkiem przez główną kwaterę, jest teraz wezwany do pośpiesznego współdziałania. Dowództwo daje mu kredyty, stara się oddziałać na jego ambicję. Trujący gaz prof. Wagera w r. 1918 stać się może zbawieniem dla Niemiec. Po nieudanej drugiej ofenzywie nad Marną, armje koalicyjne już rozpoczęły swoje dzieło zwycięstwa. Na polach ukazały się stalowe potwory, tanki, biorące odwet za iperyt, za „Żółty Krzyż".

Prof. Wager nie mógł uratować Niemiec, gdyż duchowo załamał się, stracił poczucie własnej inicjatywy; znękała go śmierć syna, a tragedja córki napełniła mu dom obłędem. Mówi on szefowi sztabu:

— „Jestem starym szwabem i katolikiem, panie generale; ja naprawdę wierzę w cuda, ale one wypływają jedynie z woli i za łaską Boga; ja zrobię swoje, ale to jeszcze nie wszystko!"

Czemuż nie wszystko? Bo Wager u stóp konfesjonału zrozumiał, iż „Chrystus nigdy nie wysłucha jego szczerej intencji". „Nie godzi się zresztą wzywać Go o pomoc w pracy nad odkryciem substancji „W" w świętej sprawie zbawienia ojczyzny".

Inny to już człowiek. Odkupiony przez cierpienie. Wager dyskutujący z prof. Niemayerem w tomie pierwszym i wykładający mu twarde racje niemieckiego zwycięstwa, jest teraz wytrącony z równowagi i szukający w kościele racji dla swoich przekonań. Postać ta stanowić będzie chlubę twórczości Struga.

„Ostatni film Evy Evard" przynosi również piękną transformację von Sendena, towarzysza niedoli kapitana Despaix z pod fermy „Routoire". Wydźwignie on dr. Ossjana Helma, wyprowadzi z labiryntu bierności i fatalizmu po śmierci Rity. By zabezpieczyć życie przyjaciela, zastrzeli własną żonę Gretę, szpiclówkę, która była narzędziem sztabu niemieckiego w procesie Evy.

Urocza aktorka filmowa umrze od kul francuskich. Sąd wojenny nie będzie się długo zastanawiał nad jej winą, a dowódca armji francuskiej, gen. Petain, podpisze wyrok bez specjalnego zainteresowania, odrabiając pracowicie ważniejsze sprawy. Nowe wydarzenia na froncie usunęły zupełnie w cień osobę Evy Evard. Poniesie ona śmierć majestatycznie, niemal jak na filmie. Będzie to, istotnie, „Ostatni film Evy Evard".

Wstrząsający jest finał. Strug nie zakończył swojej powieści kaźnią aktorki. Chodziło przecież o inne walory beletrystyczne, niż odtworzenie dziejów życia zaplątanej w wydarzenia wojenne pięknej kobiety. Powieść Struga kończy wstrząsający obraz ataku czołgów na pozycje niemieckie.

Znakomity beletrysta pokazuje, jak żywioł rozpętany przez człowieka bierze nad nim władanie, jak maszyna-potwór wykonywa akt zniszczenia niezależnie od osoby kierującej. Dzieło ludzkie w ten sposób często urasta ponad wolę swego twórcy. W stwierdzeniu tem kryje się dręczące pytanie, ważne dla przyszłości ludzkości.

„Żółty Krzyż" pozostawia niezapomniane wrażenia. Nie jest to lektura dostępna. Trzeba samemu wznieść się na poziom rozważanych, kontemplowanych zagadnień, by odczuć powagę i piękno tej niezwykłej powieści. Zbogaca ona nasz dorobek artystyczno-literacki. Jest czołowem wydarzeniem naszego życia piśmienniczego ostatnich czsów.

Eustachy Czekalski

JAK W PEWNYM DOMU OBGADYWANO KRYTYKĘ

Salon. Kilka pań, paru panów. Nie grają w bridża. Nie tańczą. O dziwo! Rozmawiają. I jeszcze większe dziwo. Rozmawiają o literaturze.

Pani, przybyła z zagranicy, żona dyplomaty, pyta, jakie są najciekawsze polskie nowości literackie: Powieści, studja. Zaczyna się ożywiona dyskusja. Pada kilka nazwisk. Każde budzi zdziwienie, protest, nawet wzgardliwe oburzenie. Uzgodnienie poglądów wydaje się kwadraturą koła. W Polsce zawsze najpiękniejsze książki są te, które jeszcze nie zostały napisane.

Aż wytrącona z równowagi żona dyplomaty pyta.

— Jakie państwo mogą mi wskazać wydawnictwa krytyczne, żebym się trochę mogła zorjentować w naszej produkcji literackiej?

— Wydawnictwa krytyczne?

Rozgadane towarzystwo na chwilę zamilkło. Nikt nie umiał odpowiedzieć.

— Krytyka u nas ma tak małe znaczenie, — odezwał się jeden z panów.

— Czy my wogóle mamy krytykę? — zapytała ironicznie przystojna brunetka o cokolwiek semickim typie.

— Są trzy kategorje krytyk u nas: te, które są wysługami przyjacielskiemi, te, które są porachunkiem osobistym, i wreszcie te, które są popisem dowcipu i złośliwości krytyka kosztem krytykowanego.

— Krytyk, któryby pisał pod kątem entuzjazmu dla piśmiennictwa, którby witał radośnie wszystko, co zasługuje na uwagę, prezentował czytelnikom, zachęcał do czytania, budził zainteresowanie dla nowych utworów, — taki dobry człowiek wśród polskich krytyków jest wielką rzadkością.

— Złe wino zawsze zamienia się w ocet.

— Najsmutniejsze, że krytycy, tak surowo oceniający prace innych, sami piszą najczęściej nieudolnie. Pióra mają jak z drzewa. Wystawiają stopnie, niczem nauczyciele ze szkoły powszechnej. Krytyk powinien mieć talent pisarski, jeśli chce pisać o talentach innych. Jeśli talentu pisarskiego...

— Niech zostanie w domu, jak pan Chonfleury, — dokończyła żona dyplomaty.

Pożegnała się i wyszła. Zaś w drodze myślała.

— Może było istotnie lepiej zagrać w bridża...

Mr.





„Karnawałowa piosenka" ADAM BUNSCH *„Zwiastowanie"*

LEGENDA BIBLIJNA W MARYNARCE

Udowodnili już renomowani psychoanalitycy, że dusza dobrego szofera składa się mniej więcej z 78 różnorakich pierwiastków, Al Capone ma ich około 300, a najwięcej posiadają artyści rozmaitych fachów.

Poprostu rachuje się u nich na tysiące; tyle przeróżnych można wydobyć z artysty możliwości.

Do takich bogaczy należy Adam Bunsch, którego wystawę należy obejrzeć w „Zachęcie".

Posiada bowiem ten artysta w swej sztuce taką szeroką skalę pasyj i wrażliwości artystycznej, że to zastanawia.

Zrzędzą niektórzy, iż A. Bunsch ciągle czegoś szuka, że raz zachciewa mu się rodzajowych kompozycyj, to znów reprezentacyjnego portretu w smaku His Majesty Gallery, to znów jest kolorystą w sensie impresjonistycznym, by za chwilę porzucić tę szlachetną metodę i przejść do syntezy barw. Jest malarzem płócien olejnych, akwarelistą, pastelistą, dekoratorem, drzeworytnikiem, staje się po kolei symbolistą i realistą, za jednym zamachem chce uwięzić w obrazie formę, kolor i myśl.

Taki malarz może rozzłościć nietylko przyjaciół, ale i ludzi w sądzie umiarkowanych, ba, nawet poruszyć kapituły.

Zrobił to Bunsch w czasie zeszłorocznej wystawy sztuki kościelnej, gdy wystąpił, jako reformator malarstwa kościelnego.

Stawali przed jego obrazami świadomi grzechu i cnoty scholastycy, potrząsali głowami i milczeli, powracali i przerzucali w myślach kartki rubryceli, nawet odnieśli się do autorytetu „Summy teologicznej" świętego mędrca z Akwinu i nie powiedzieli ani słowa.

Niby kanonicznie wszystko w porządku, legenda niespaczona, wiara nie zadraśnięta, wieje z obrazów żarliwy duch chrześcijański, nawet asceza i uroczysty patos perorują do widza, ale szwank poniosło przyzwyczajenie, które staje się drugą naturą ludzką. Przekląć nie można, ale polecić na razie nie wypada.

Postanowiono więc, iż za lat 500 wypowiedzą scholastycy swe zdanie o obrazach Bunscha.

Gotów jestem iść o wysoki zakład, że wyrok będzie najpomyślniejszy. Dlaczegożby bowiem dla obecnych czasów wyrok miał być surowszym, niż dla renesansu, który postacie świętych odziewał w współczesną sobie szatę, a biblijnych patrjarchów stroił wedle ówczesnej mody?

Bunsch przebrał dawną legendę w dzisiejszy kostjum, kobiety wedle żurnalu paryskiego, mężczyzn w marynarki i meloniki, zmodernizował obraz religijny.

Czyż Bóg miłości i przebaczenia, pocieszyciel i uzdrowiciel dusz stroić się musi w hieratyczność i arcykapłańskie nosić ornaty?

Bizantynizm nie dozwala schodzić Bogu do swego marnego stworzenia, panuje więc na obrazach, jak cezar nad niewolnikami, ale zachodni chrześcijanin pragnie oglądać Boga w swym domu, przy każdem dziele i przy każdej myśli. I w tej dyskusji, jaka się toczyła przed pół rokiem, a obecnie wywołana znów została dwoma obrazami Bunscha: „Przebudzenie córki Jaira" i „Zwiastowanie", padły znamienne słowa:

— W każdym innym kraju, tylko nie w Polsce, uchodzić może Bunsch za malarza religijnego.

Tłoczy nas bowiem bizantynizm, kłaniamy się kornie wielkiej przeszłości, a wśród siebie nie uznajemy ani świętych, ani wielkich, chyba cezarów. A Jezus, Bóg maluczkich, nie chce innych hołdów prócz miłości.

Witołd Bunikiewicz



Adam Bunsch Fot. A. Janczewska *„Córka Jaira"*



Unieruchomiona chorobą młoda i piękna kobieta (przesubtelna i wzruszająca w tej roli Marja Malicka) zwierza się szczeremu przyjacielowi (doskonały Gawlikowski)



Dziecko mocniej wiąże, niż sakrament (nielegalne małżeństwo: Z. Marcinowska i R. Boelke)

Fot. Jan Malarski

Świat teatru

Wielki sukces Marji Malickiej

Wystawiona świeżo w Teatrze Nowym rozgłośna sztuka Nicodemiego „Cień" wywołała sądy naogół bardzo przychylne; niektórym jedynie wydała się sztuka jakby trochę — niedzisiejszą.

Niewątpliwie, gdyby Niccodemi był pisarzem o wyostrzonym zmyśle aktualności lub miał ambicje wybitnie handlowe, byłby z pewnością położył nacisk na problem: „czy wolno mężczyźnie, którego żona jest nieuleczalnie chora, zakładać drugie ognisko domowe?" Lub zupełnie już w stylu „życia świadomego": „czy mając żonę przykutą na całe życie do fotela, ma być fizycznie zdrowy mężczyzna (zwłaszcza francuz!) pozbawiony prawa do życia... płciowego?"

Ale Niccodemi jest autorem bardziej.. zachodnim, szereg lat mieszkał i tworzył w Paryżu, był sekretarzem jednej z największych artystek francuskich ostatniej doby: słynnej Réjane... Więc sztuki jego, z reguły i upodobania, pisane są nie *sub specie aeternitatis* ani *actualitatis*, lecz *sub specie — feminae*.

„Czaple pióro", „Gałganek", „Nauczycielka", „Moja maleńka", „Świt, dzień i noc" — w każdej z tych sztuk Niccodemiego jest świetna rola kobieca, a w „Cieniu" lepsza jeszcze i większa, niż w innych. Ta wzruszająco rozumna, przepięknie czysta, poetycko dobra Joanna — to rola więcej niż „wielka", niż „popisowa", — to rola z gatunku tych, co stwarzają sławę artystek. Gdyby boska Duse żyła do dziś, lub gdyby Niccodemi wcześniej był tę sztukę napisał, napewno *Signora* jeździłaby z rolą Joanny po świecie. Teraz obwozi ją po Włoszech spadkobierczyni sławy Duse — Emma Grammatica. W Niemczech gra ją znakomita artystka niemiecka Tilly Durieux.

U nas ta arcytrudna rola przypadła — Marji Malickiej. Wybór okazał się nadzwyczaj trafny. Jeżeli bowiem co do samej sztuki — zresztą wszyscy to przyznają, wybitnie wartościowej i majstersko napisanej — wypowiedziano pewne zastrzeżenia (głównie, co do tematu) — to kreację Malickiej przyjęto jednomyślnym, miejscami entuzjastycznym, aplauzem wielkich pochwał i pełnego uznania. Niektórzy krytycy wręcz chcą widzieć w tej roli punkt zwrotny i początek wielkiej karjery aktorskiej ulubionej artystki...

Wykonawcy ról innych — z winy i woli autora — *nolens volens* pozostać musieli w *cieniu* świetnej roli Joanny. Z wyjątkiem Gawlikowskiego, którego sympatja publiczności i wielkie uznanie dla talentu potrafiły odnaleźć w niewielkiej, znakomicie zagranej — roli „przyjaciela".

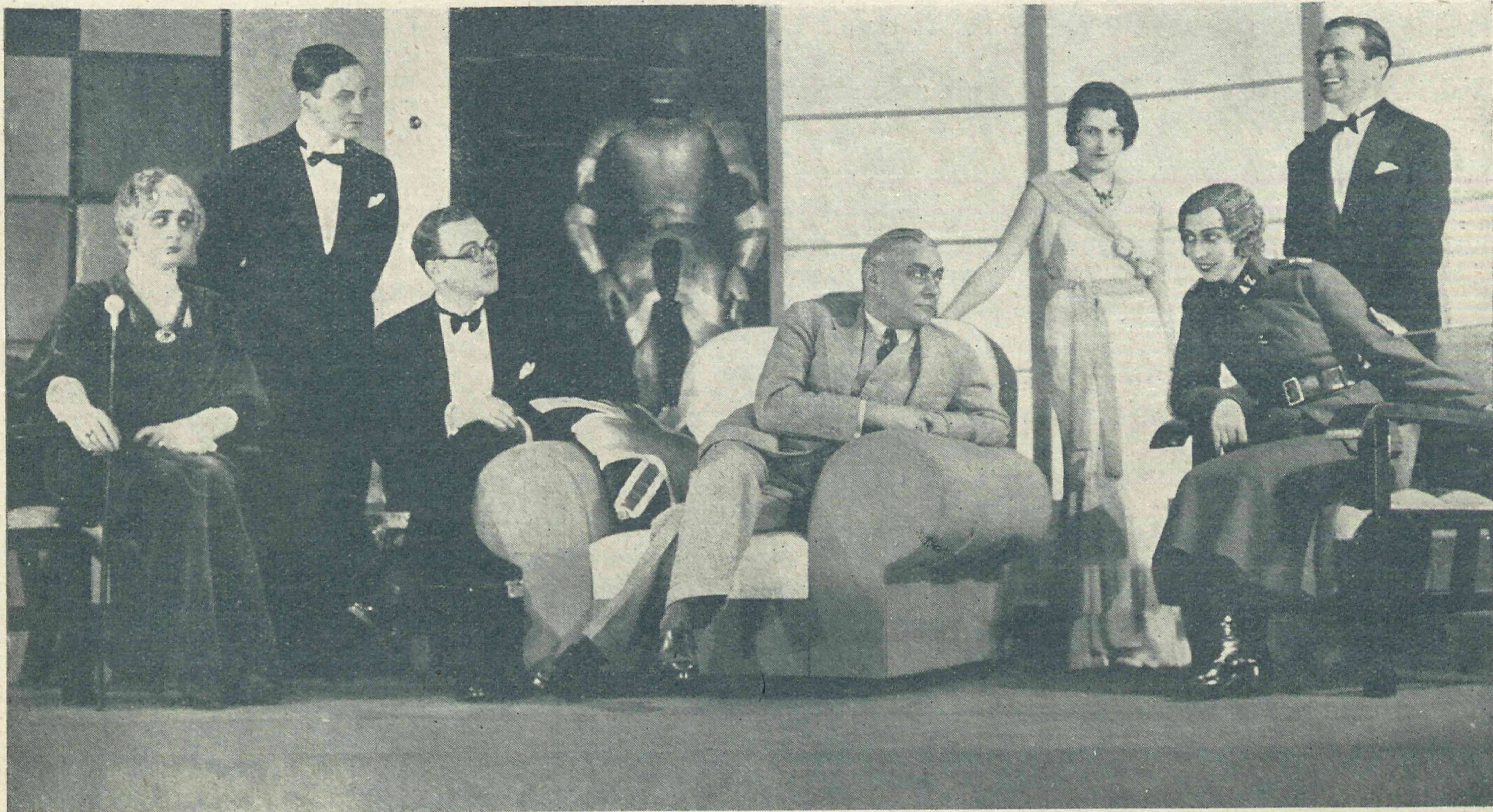
W kilku wierszach

Dwa jubileusze repertuarowe w b. Teatrach Miejskich. W sobotę, dn. 11 b. m. odbyło się w Teatrze Narodowym 50-te przedstawienie „Wesela" Wyspiańskiego w reżyserji Ludwika Solskiego. Nazajutrz w Teatrze Letnim odegrano po raz 100-ny (96 przedstawień w Teatrze Nowym, 4 w Letnim) świetną komedję Jakuba Deval'a „Mademoiselle" w wybornym przekładzie J. A. Hertza.

*

Zgon twórcy „Pigułek Herkulesa". Zmarł w Paryżu w 78-ym roku życia Paweł Bilhaud, jeden z najpopularniejszych swojego czasu „wodewilistów" paryskich, czyli autorów fars i lekkich komedji, które pisywał bądź sam, bądź do współki z takimi mistrzami tego teatralnego rodzaju, jak Maurycy Hennequin lub Piotr Veber. U nas grano przed laty kilkudziesięciu i kilkunastu cały szereg fars Bilhaud'a a największe powodzenie zdobyły: „W jaskini lwa" i „Pigułki Herkulesa" — te ostatnie do dziś grywane chętnie w teatrach prowincjonalnych i amatorskich.

„Major Barbara" Shaw'a w Teatrze Ateneum



Pp. Perzyńska, Damięcki, Wojdan, Jaracz, Koreywo, Wiercińska, Woszczerowicz Fot. St. Brzozowski

Shaw na Powiślu

Po stu (bez mała) występach w kapitalnej roli „Kapitana z Kepenika" Jaracz awansował i teraz w pięknym gmachu kolejarzy gra pacyfistyczno-militarystycznego Majora.

To nie lapsus. Wyraźnie — czarnemi czcionkami na białem — „stoi" na słupach afiszowych: „Teatr Nowe Ateneum: *Major Barbara* Shaw'a z Stefanem Jaraczem w roli *tytułowej*..."

Stosownie do swej nowej rangi daje znakomity artysta jeszcze wyższą klasę gry, niż u Zuckmayera. Prawdziwie — majorową. Inni mężczyźni to minorowa cywilbanda. Przysposobienie kobiece — zawiodło zupełnie. Nie dopisała tym razem i komenda reżyserska (Wierciński).

Siła „wieczystej aktualności" dowcipu shawowskiego została również poważnie zakwestjonowana przez krytykę.

Armja Zbawienia Shaw'a spoczęła na barkach Jaracza. Mocne to bary. Nie dadzą Barbary.

el.

Maks Reinhardt — redivivus

Kryzys teatralny w Berlinie, od miesiąca przybierający stopniowo coraz groźniejsze rozmiary, spowodował zamknięcie paru drugorzędnych teatrów; jednocześnie sprowadził załamanie się imprezy słynnego eks-reinhardtowskiego *„Deutsches Theater"*. Po kilkudziesięciu latach prowadzenia, Reinhardt z początkiem bieżącego sezonu oddał jak wiadomo ten teatr spółce, złożonej z dyrektora wiedeńskiego „Volkstheater" Dr. Beera oraz reżysera Karola Martina. Spółka od samego początku nie miała szczęścia; sztuki na obu scenach (Teatr Niemiecki i Kameralny) padały niejednokrotnie po kilku przedstawieniach. Przed samemi świętami Bóg, Cesarz i Chłop — dobili imprezę ostatecznie. Władze bezpieczeństwa nakazały zdjęcie antyklerykalnej sztuki z afisza. Gaże były niezapłacone, teatrowi groziło zamknięcie; sytuację uratowali aktorzy, którzy zobowiązali się poczekać do nowej premjery. Ale po za gażami aktorów było wiele innych zobowiązań, sięgających sumy ćwierć miljona marek niemieckich (zgórą 500,000 złotych). Likwidacja okazała się więc nieunikniona. Na miejsce Spółki „Beer-Martin" uformowała się nowa: aktor berliński Achaz i dyrektor Neft z berlińskiej „Volksbühne". Achaz, jak wiadomo, jest synem miljonera Duisberga, więc przychodzi z pieniędzmi. Wraz z papą Achaza przyjść ma, jak donoszą pisma, i Maks Reinhardt, którego stosunek do „Deutsches Theater" i „Kammerspiele" ma być odtąd — ściślejszy.

Szczęśliwy C. K. Wiedeń

„*Bella gerant alii*", czyli wszędzie w świecie teatralnym niedobrze się dzieje: reportaże, kryzysy, plajty, afery — a *felix Austria*, względnie „szczęśliwy Wiedeń" z upodobaniem uprawia repertuar — królewski. Na afiszach teatrów wiedeńskich widnieją tytuły: „Marja Stuart", „Król Ryszard III", „Spór braterski Habsburgów", „Młodzieńcze lata królowej Wiktorji", „Luiza Koburska", „Cesarz Franciszek Józef"... Ten ostatni figuruje oprócz tego jako *dramatis* lub *operetae persona* jeszcze w trzech utworach: w Sassmanna „Roku 1848", w komedji muzycznej Kreislera „Sissy" i w słynnym wodewilu-rewji „Pod białym koniem" — łącznie na czterech scenach! Co wieczór więc czterech różnych — a zawsze wybitnych — aktorów wiedeńskich kreuje przed republikańskiemi parkietami „Jego Cesarską i Królewską Mość"... W jednym z tych teatrów Majestat Apostolski raczy nawet osobiście śpiewać i tańczyć, a republikańskie partery i proletarjackie galerje biją frenetyczne oklaski — po raz 650-ty zrzędu!...

Dobry sezon w Nowym Yorku

W nowojorskich teatrach panuje ożywienie większe, aniżeli w roku ubiegłym. Sezon jest nawet lepszy, niż z przed 2—3 lat, kiedy kryzys gospodarczy jeszcze nie dawał się tak silnie we znaki, jak obecnie.

Powód jest bardzo prosty: teatry dają kilka dobrych sztuk, i publiczność chodzi do teatru i płaci za bilety.

Komedja muzyczna „Of The I Sing" już cały rok trzyma się na afiszu, jest bowiem nietylko melodyjną operetką, ale i doskonałą komedją — satyrą polityczno-obyczajową.

Dużem powodzeniem cieszy się nowa sztuka znanego i w Warszawie autora Elmer Rice'a p. t. „Comiel at Law" (Adwokat), oraz cięta komedja obyczajowa „Dinner at bight" (Obiad o ósmej).

„Złe czasy" w teatrach, piszą nam z Nowego Jorku, są synonimem „złych sztuk".

Humor teatralny

TRZY DO JEDNEGO...

Frekwencja w niektórych berlińskich teatrach, jak to obecnie powszechnie wiadomo, spadła do zastraszających minimów. W jednym z teatrów, gdzie grywają sztuki z tłumem statystów, zdarza się często, że na scenie jest więcej ludzi, niż... na widowni.

To też aktorzy tego teatru porozumiewają się za kulisami w następujący sposób.

— Jak tam dziś w teatrze?

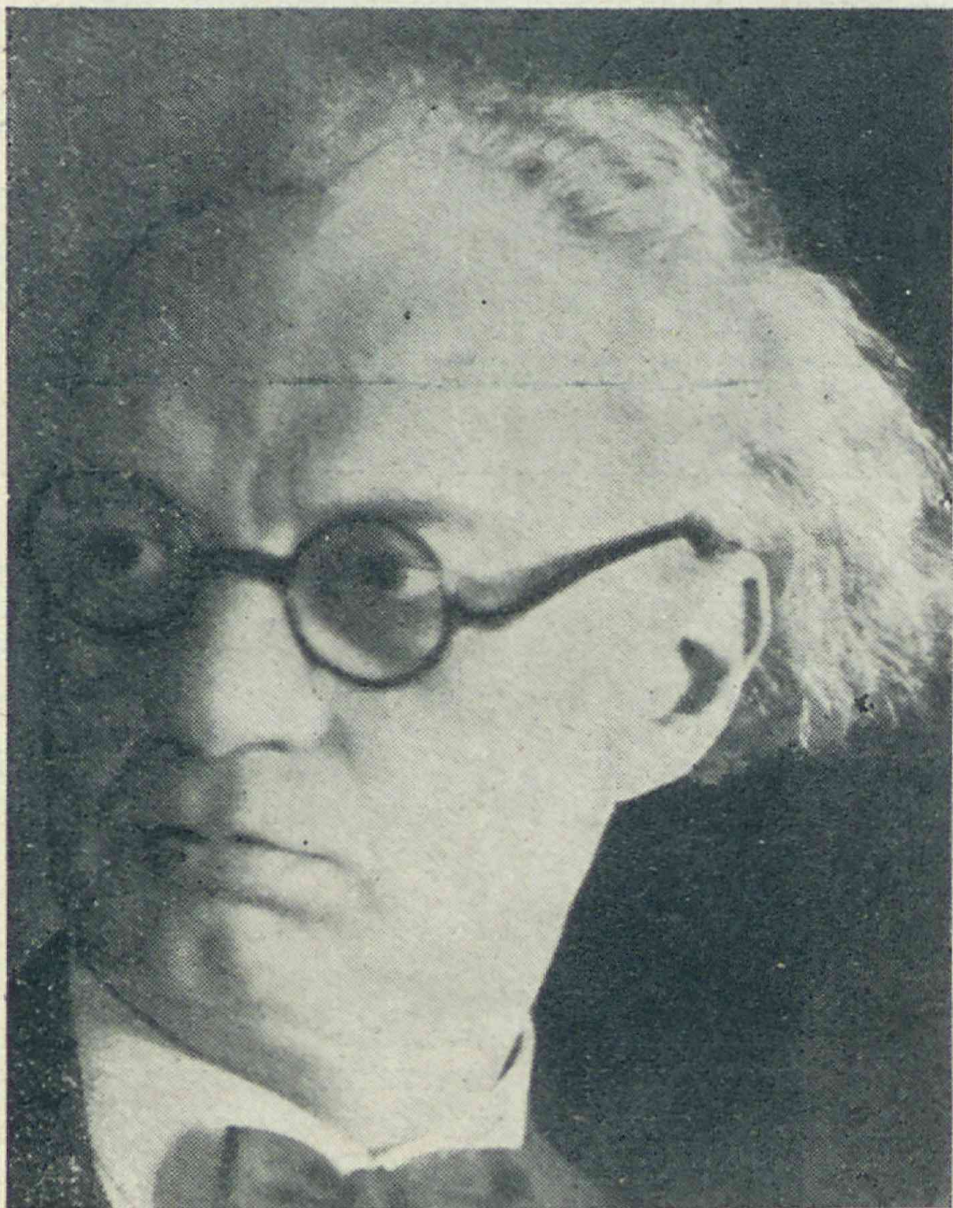
— 3 : 1.

Na sposób „sportowy"...

PAŃSTWOWA NAGRODA MUZYCZNA 1932 R.

Wokół tegorocznej państwowej nagrody muzycznej rozgorzała namiętna walka, powstała atmosfera skandalu. Poczęły kursować najróżniejsze pogłoski, plotki, oskarżenia. Doszło do rozłamów, secesji i spraw sądowych. Cóż się właściwie stało? Jaki faktyczny przebieg miała cała ta burza... w szklance wody.

Do tegorocznej nagrody było dwuch kandydatów: Karol Szymanowski — za IV-tą symfonję i Eugenjusz Morawski — za „Świteziankę".



EUGENJUSZ MORAWSKI

Na pierwszem posiedzeniu jury odrazu jasnem się stało, że większość sędziów — 5-ciu na 7-miu — jest za przyznaniem nagrody Morawskiemu. Niebardzo więc rozumiemy, a jeszcze mniej pochwalamy, obstrukcję, wywołaną przez dwuch młodocianych sędziów, będących w mniejszości. Każdemu wolno mieć swoje przekonania i bronić ich argumentami rzeczowemi. Ale na cóż zda się — i czy zyskuje na tem powaga instytucyj takich, jak Nagroda Państwowa, albo Stowarzyszenie Kompozytorów Polskich — wywlekanie na forum publiczne sprawy, nie mającej nic wspólnego z Nagrodą Państwową. Posunięcia taktyczne nie zawsze są taktowne, — o czem muzycy powinni pamiętać. Zwłaszcza, gdy zgóry skazane są na — przegranie.

Nie podzielamy również zarzutów, czynionych Wydziałowi Sztuki i jej kierownikowi, p. Wł. Zawistowskiemu. Skoro państwo funduje nagrodę, ma ono prawo powoływać do jury z pośród znawców, kogo uważa za właściwe. Nie może być mowy o „stwarzaniu w jury sztucznej większości", gdy powoływani są doń nie żadni „pułkownicy", lecz muzycy, cieszący się powagą i ogólnem zaufaniem.

Jeśli czego żałować wypada, to wkradania się ducha koterji w dziedzinę, do której t. zw. „polityka" dostępu mieć nie powinna.

* * *

Tegoroczny laureat państwowy Nagrody Muzycznej, Eugenjusz Morawski, urodził się w Warszawie w r. 1876.

Ukończywszy w roku 1904 Konserwatorjum warszawskie — klasę kompozycji Z. Noskowskiego — wstąpił Morawski, który z talentem muzycznym łączy nieprzeciętny talent malarski, do Warsz. Szkoły Sztuk Pięknych — do klas prof. K. Krzyżanowskiego i F. Ruszczyca.

W roku 1907 został aresztowany przez Ochranę — wraz z Jurem Gorzechowskim, Berensonem i A. Mühlsteinem — i deportowany do jenisiejskiej gubernji, skąd po paru latach, dzięki stosunkom i zamianie kary na banicję, wyjechał do Paryża. Tu spędził lat 20. Od roku 1931 zajmuje stanowisko dyrektora państw. Konserwatorjum w Warszawie.

Ciężka walka o byt nie pozwoliła Morawskiemu na wydanie ani jednej z licznych bardzo kompozycyj. Niewiele z nich doczekało się choćby wykonania. Kantata p. t. „Kordecki" na chór, organy i orkiestrę, „Msza Częstochowska" na orkiestrę i organy (grana na Jasnej Górze). Symfonja „Vae Victis" — na wielką orkiestrę z organem (wykonana w Paryżu). Symfonja „Fleurs du mal" na orkiestrę i chóry. Poematy symfoniczne na Wielką Orkiestrę: „Don Kichot", „Never More", „Ulalume". Balety: „Miłość" (4 akty) „Świtezianka" (2 akty) — nagrodzona obecnie — „Krakus i Smok".

Kwartet smyczkowy, 2 sonaty fortepianowe, 1 sonata na skrzypce, kilkadziesiąt pieśni religijnych i świeckich — oto nieprzeciętny dorobek artystyczny i twórczy laureata.

Życzyć wypada, żeby jak najwięcej z tego i jak najprędzej wyszło z teki na światło.

M. Kl.

Kronika muzyczna

Nakładem paryskiej firmy Bosc frères ukazała się praca dr. Edmunda Sicard, dyrektora laboratorjum policyjnego w Lyonie, a zarazem muzyka i krytyka, p. t. „La maladie et l'oeuvre de Chopin". W pierwszej części swej pracy charakteryzuje autor życie Chopina i omawia przebieg gruźlicy u genjalnego muzyka, w drugiej — psychologję gruźlików wogóle i zastanawia się nad wpływem choroby na twórczość mistrza.

*

Nakładem sekcji muzycznej Sowieckiego wydawnictwa państwowego ukazał się rosyjski przekład listów Chopina. Badaczy Chopina zainteresuje próba ścisłego ustalenia dat wszystkich listów, oraz dokładne ustalenie dnia wyjazdu Fryderyka Chopina z Londynu. (23.XI.1848).

*

Paryska „Opera - Comique" wystawiła w nowej inscenizacji cudowną operę C. Debussy'ego p. t. „Pelléas et Mélisande". Dzieło to — grane po raz pierwszy w r. 1902 — zostało wykonane bez żadnych skrótów, wywołując ogólny entuzjazm. Zalecamy gorąco dyrekcji naszych oper zainteresowanie się możliwością wystawienia Pelleasa na polskiej scenie.

*

Zmarł w Moskwie kompozytor i dyrygent Opery, Wiaczesław Suk, noszący tytuł „artysty ludowego".



STAN. KORWIN-SZYMANOWSKA, znakomita śpiewaczka polska, została zaproszona przez Radjo Czeskosłowackie do Pragi na koncert-recital, który z towarzyszeniem orkiestry odbędzie się dn. 22 b. m. między godziną 7½ a 8½ wieczorem. W programie utwory Karola Szymanowskiego, Jana Maklakiewicza, Debussy'ego i Duparc'a.

SOJUSZ MODY Z WOJNĄ

Między modą a produkcją gazu wojennego istnieje bezsprzecznie ścisła łączność. Twierdzenie to wyglądające pozornie na paradoks, w istocie zgodne jest z prawdą. Przemysł barwnikarski lansuje i wprowadza na rynek coraz to nowe „kolory mody", zwalcza międzykrajową konkurencję i drogą ogromnych wysiłków finansowych (subwencjonowany przeważnie przez państwo), dąży do ogarnięcia jaknajwiększych rynków zbytu. Poparcie państw zawdzięcza przemysł barwnikarski *półproduktom*, które wyrabia dla fabrykacji barw. Np. kwas pikrynowy, służący jako półprodukt do wyrobu kilku ważnych barwników, jest znanym i powszechnie w wojskach stosowanym środkiem wybuchowym, silniejszym pod wieloma względami od strasznego w działaniu dynamitu.

Piękne i trwałe barwniki powstają również przy pomocy związku chemicznego czadu i chloru. — Czad i chlor to osławiony gaz bojowy FOSGEN.

Niewinne fabryki barwników, istniejące w czasie pokoju wyłącznie ku zadowoleniu próżności ludzkiej, zmienią się z wybuchem wojny w mgnieniu oka — w olbrzymie wytwórnie trujących gazów i śmiercionośnych środków wybuchowych.

Muszą więc zainteresowane państwa dbać w czasie pokoju o stan przemysłu barwnikarskiego, z myślą o gotowości bojowej tych fabryk na wypadek wojny. Nic dziwnego, że przemysł ten stał się benjaminkiem wszystkich większych narodów, które dbają o jego rozwój troskliwie i finansują znacznie, bez względu na chwilowy stan produkcji czy konsumpcji.

Poniżej zamieszczam tabelę współczesnego układu sił wszechświatowego przemysłu barwnikarskiego, dla zorjentowania czytelników w ogromie tych przedsięwzięć:

Kraje	W walutach danego kraju	Zainwestowany kapitał	Udział % poszcz. krajów w wszechświatowej produkcji barwników
Niemcy . . .	900 milj. mk. n.	„I. G."	43%
St. Zjedn. . .	250 milj. dol.	„Du Pont"	27%
Anglja . . .	37 mil. funt.	„I.C.I."	12%
Francja . . .	300 milj. fr. fr.	„Kühlman"	8%
Szwajcarja . .	—	—	6%
Włochy . . .	—	—	3%
Japonja . . .	—	—	4%
Polska (i inne kraje) . . .	15 milj. złotych	Niezjednoczone w koncern	1%





Jak widzimy z powyższej tabeli udział Polski w barwnikarstwie międzynarodowem jest pod każdym względem znikomy. Musimy sobie to jasno uzmysłowić i stworzyć dla istniejących już fabryk chemicznych lepsze warunki rozwoju.

Olbrzymie koncerny zagraniczne exportujące swe barwniki, usiłują powstrzymać i osłabić import exsportowy obcych państw przedewszystkiem przez ścisłą współpracę (syndykaty i koncerny) i odpowiednią politykę skarbową (taryfy celne).

Na tem tle międzynarodowej polityki gospodarczej, istniejący polski przemysł barwnikarski wymaga ogromnych wysiłków by sprostać wymaganiom chwili. Nie jest zbyt łatwe zadanie zwłaszcza dzisiaj, w okresie ogólnej delsonjunktury i braku środków obiegowych. Konieczna jest opieka finansowa państwa i silne zespolenie istniejących fabryk, byśmy mogli wystąpić na zewnątrz zwartą akcją dla odparcia ataku zagranicznych mocarzy w produkcji barw i... środków wojennych.

Zrozumiały niepokój, jaki wywołują w kraju, konstelacje polityczne naszego zachodniego sąsiada, podkreślają aktualność tego zagadnienia specjalnie w chwili, kiedy niebezpieczeństwa zewnętrzne przybierają na sile.

aud.

ERNESTYNKA

Mężczyzna w zakresie psychologji kobiecej zdradza mało domyślności. O ile kochający mąż, czy czuły kochanek zauważy, że jego pani jest smutna, lub znudzona — proponuje jej zawsze trzy rzeczy: dziecko, psa lub kota. Dzięki tym właśnie okolicznościom Ernestynka odbyła uciążliwą podróż z Bankoku poprzez Paryż do Warszawy. O tem, że jest „Ernestynką", dowiedziała się dopiero od swojej przybranej „„mamy". Nie zrobiło tc zresztą na niej wrażenia, gdyż obojętność stanowi podstawowę cechę jej charakteru. Nawet wspomnienia o rodzinnym Sjamie, pełnym słońca, błękitu i łagodnych ludzi, nie budzą w niej tęsknot.

Każdy kraj może być ojczyzną, jeśli jest w nim okno, przez które można wydostać się na dach, i zapach kuchenny rozkosznie utajony w sutych spódnicach gospodyni. Pozatem, sytuacja kota sjamskiego w Polsce należy do najbardziej uprzywilejowanych. Wolno mu wszystko: biegać między najcenniejszemi bibelotami, robić nieporządek w bibljotece, chodzić po stole podczas proszonego śniadania i obwąchiwać talerze. Zresztą tylko ktoś bardzo łakomy mógłby się obrazić na ten pyszczek, trącający kostkę na talerzu, lub ktoś nieznoszący szafirowych oczu.

Bo Ernestynka, jak wszystkie rasowe koty sjamskie, ma olbrzymie oczy niebieskie, które w gniewie nabierają odcieni czerwonych. Wszystkie barwy gorących piasków wybrzeży morskich zdobią jej futerko. Brzuszek i grzbiet jasny, jak plaża w słońcu, łapki, uszy, nos i rasowo złamany ogon — ciemno-bronzowe. Obyczaje Ernestynka ma indywidualne. Nie znosi kotów miejscowych, wprost ich się boi, spacerów nie uznaje, dla wszystkich jest obojętna oprócz swojej gospodyni, do której przywiązała się, jak pies. Stosunek ten oparty został na wspólnej wymianie uprzejmości, bo gospodyni ma do kogo mówić, a zato Ernestynka jada to, co lubi. A lubi tylko gotowane płucka cielęce i ryby w pewien — tylko jej i kucharce — wiadomy sposób przyrządzone.

Przychodzi jednak czas, kiedy Ernestynka przestaje być chłodną i wytworną damą, staje się wyuzdaną, oszalałą kocicą. Biega na oślep po mieszkaniu, rzuca się przez otwarte okna na dwór, i płacze, płacze godzinami, noc i dzień, rozdzierająco. Kiedy „mama" już zupełnie sypiać nie może, decyduje się na krok bohaterski — szuka dla Ernestynki męża. Musi on być godny jej — rasowy: ze złamanym ogonkiem i szafirowemi oczami. Warszawa to nie Sjam, o narzeczonego trudno. Kiedy wreszcie po kilkudziesięciu telefonach, wizytach, prośbach i uprzejmościach znajdzie się wybraniec, Ernestynka nie zawsze objawia zadowolenie. Zdarzało się, że kawaler urodziwy i pełen dobrych chęci odstawiany bywał, jak niepyszny, do właścicieli z uszczypliwą uwagą o jego zdolnościach małżeńskich. Bo Ernestynka przyjmowała wszelkie jego awanse biciem, fukaniem i brutalną odmową. Jeśli jednak znalazł się odpowiedni i przebrnięto szczęśliwie przez wszystkie fazy znajomości, Ernestynka stawała się innem zwierzątkiem. Łagodna, tkliwa, serdeczna obnosiła z dumą swój majestat macierzyństwa.

Po 62 dniach przychodzą na świat małe, zawsze cztery, cuda: kremowe myszki, którym po kilku dniach zaczynają w zabawny sposób czernieć czubki uszu, łapek, ogonka i nosa. Najrozkoszniejsze kociaki pełne gracji, wdzięku, kochane, pieszczone przez Ernestynkę z czułością ludzką i niezaradnością zwierzęcą.

Bo jeśli wyjąć jedno kocię z koszyka, przeciw czemu Ernestynka najmocniej protestuje, a za chwilę je zwrócić, spokój kotki zburzony. Liczyć biedna nie umie, skąd ma wiedzieć, że znów są cztery. Szuka więc godzinami i upomina się o zgubę.

Ernestynka przeżywa wszystkie dramaty matki. Dzieci rosną, już jej nie potrzebują, ona wciąż je karmi, chce choć trochę być potrzebna; małe ją kaleczą, gryzą, nic to — byle były blizko.

Powoli po jednemu dzieci idą do ludzi, komuś ozdabiać mieszkanie, komuś umilać samotność. Ernestynka z czasem zapomina o nich, znów zapada w obojętność wschodnią; znów ją nic nie obchodzi, aż przyjdzie czas, że zapragnie rodzić.

J. J.



Ernestynka ze swojem potomstwem







1. Defilada jazdy sudańskiej na wielbłądach. 2. Biegi kłusaków w saneczkach na zimowym stadjonie w Wiedniu. 3. Olbrzymia manifestacja socjalistów angielskich przeciwko polityce gospodarczej rządu Mac Donalda

Fot. „The New York Times"

„Proszę o pierwszego kontredansa"

Jak to dawniej na balach bywało?...

Bal!... Jakież to było ongiś — a właściwie jeszcze przed 20 laty — fascynujące słowo!... Wówczas, kiedy karnawał był naprawdę wyłącznym okresem tańca i zabawy i kończył się w dniu Popielca, kiedy nie znano „dancingów". O balu panieńskie serce marzyło całemi tygodniami, a wspominało długo, długo...

Już na miesiąc przed balem młodzież zamawiała bardziej pożądane danserki do poszczególnych tańców.

— Proszę o pierwszego kontredansa i o drugiego mazura!...

Z jakąż dumą mówiła panienka przed balem:

— Już mam wszystkie tańce zamówione!...

Ta, która nie miała jeszcze karneciku wypełnionego nazwiskami tancerzy — drżała z tremy, że może będzie „pietruszkować"...

Ach! to „sprzedawanie pietruszki" — postrach, zmowa wszystkich panien brzydszych, nieśmiałych, gorzej ubranych, albo poprostu nie posiadających znajomości...

Ileż to dowcipów krążyło na temat tych nieszczęsnych, czekających pod ścianą z trwogą i utęsknieniem w sercu na byle bęcwała, któryby zechciał okręcić się nią w tańcu, oberwać tren sukni i przydeptać świeżutkie, jasne pantofle...

Właśnie z gromadki fraków, skupionych u wejścia do sali, odrywa się jakiś typ i żegluje w kierunku panienki w różowej sukience, wachlującej się wytrwale, pomimo, że wcale nie jest zgrzana.

— Maniu — szepcze mama — nie garb się!... uważaj!... ten pan widocznie chce cię zaprosić do walca!...

Mania prostuje się, robi wdzięczną minkę, ale upragniony danser — omija ją i bierze do tańca sąsiadkę.



— A kotyljona masz zamówionego?

— Nie—odpowiada już ze łzami w oczach dziewczyna.

Mama przyzywa jednego z gospodarzy i szeptem natarczywym wyjaśnia sytuację, domagając się, aby dla Mani znalazł dansera, ale to—koniecznie, bo przecież nie może panna siedzieć, kiedy wszyscy tańczą...

Gospodarz zakłopotany rozkłada bezradnie ręce:

— Niestety, tak mało dzisiaj młodzieży, i wielu panów nie tańczy... Ale ja postaram się...

W końcu wynajduje jakieś indywiduum sztywne, jakby grabie połknęło... Indywiduum zaprasza pannę Manię do kontredansa, lecz okazuje się niema „vis-a-vis"...

To szukanie vis-a-vis — to nowe komplikacje, nowe intrygi...

Ach te tańce figurowe — kontredans, kotyljon, mazur — ileż one wywoływały zamieszania, jakie łączyły się z nim dyplomatyczne zabiegi i wybiegi....

W tańcach figurowych królował oczywiście wodzirej z pękiem barwnych wstążek na ramieniu, komenderujący przeraźliwie donośnym głosem:

— Rrrond!... Grande Chaine!... Koszyczek!... Powrót do swoich!... Walczyk na miejscu!... Szufladki!... Łańcuszek z lewej ręki!... z lewej — państwo! — z lewej... Gdzie jest pańska lewa ręka?!... Panie do środeczka — panowie kółeczko!... A place!...

Wodzirej — figura mocno śmieszna, ale niesłychanie ważna, zdecydowanie niezbędna na balu.

Każde miasto, każda sfera towarzyska posiadała kilku takich przysięgłych wodzirejów, uwiecznionych przez Bałuckiego w typowej przepysznej figurze Fikalskiego w „Domu Otwartym". W kotyljonie zwykle wodzirejowi przypadała w udziale największa ilość orderów... Wracał do domu obwieszony świecidełkami i brzękadełkami — jak cygański koń — ochrypnięty, śmiertelnie zmęczony, ale dumny i z siebie zadowolony — o ile nikt nie pomylił „grande chaine", a „figura krakowska" w mazurze udała się...

Każda panna na bal przedwojenny musiała przybywać w towarzystwie mamy. W razie braku matki — używano „namiastki" — jakąś ciotkę, krewną, albo nawet tylko znajomą, byle była mężatką.

Od opieki tej nie chronił panny nawet dojrzały wiek... Choćby czterdziestoletnia dziewica musiała występować z „balową mamą", godną zresztą zawsze pożałowania osobą, drzemiącą na kanapie pod ścianą, znudzoną, ale trwającą dzielnie na stanowisku...

O tem, aby mama przedwojenna — tak jak dzisiejsza — mogła bawić się na równi z córką, tańczyć, flirtować — mowy nie było... Tak samo, jak niepodobna sobie wyobrazić, aby panienka z przed lat dwudziestu przyprowadziła ze sobą „stańczonego" dansera i nie troszcząc się o innych, tańczyła z nim stale... Przeciwnie — do szyku należało każdą „turę" tańczyć z innym danserem... To nazywało się mieć powodzenie...

Jeżeli zaś panna przetańczyła z kimś kilka razy, już powstawały szepty i plotki...

— Widziałeś, Jaś tańczył z panną Dzidzią trzy walce, dwie polki i pierwszego kontredansa... To coś znaczy...

— Wiadomo... Ona ma pięćdziesiąt tysięcy — gotówką, a on goły... Już trzeci karnawał szuka posażnej żony...



Bo **karnawał** przedwojenny był jednocześnie „**jarmarkiem małżeńskim**" — **podczas** gdy dzisiaj taniec jest tylko rozrywką sportową, jak narty lub lekka atletyka...

Specjalny flirt balowy stracił rację bytu, bo współczesna młodzież może obcować ze sobą swobodnie — po koleżeńsku... Razem z pancerzami gorsetów, karnecikami, przymusowemi białemi rękawiczkami — odrzucono wiele innych krępujących psychicznie rzeczy — do lamusa przeżytków.

A jednak ten dawny bal miał dużo uroku, miał swój własny styl, budził marzenia, rozniecał pragnienia i tęsknoty...

Po powrocie z balu — dźwięczały jeszcze we wspomnieniach tony muzyki tanecznej...

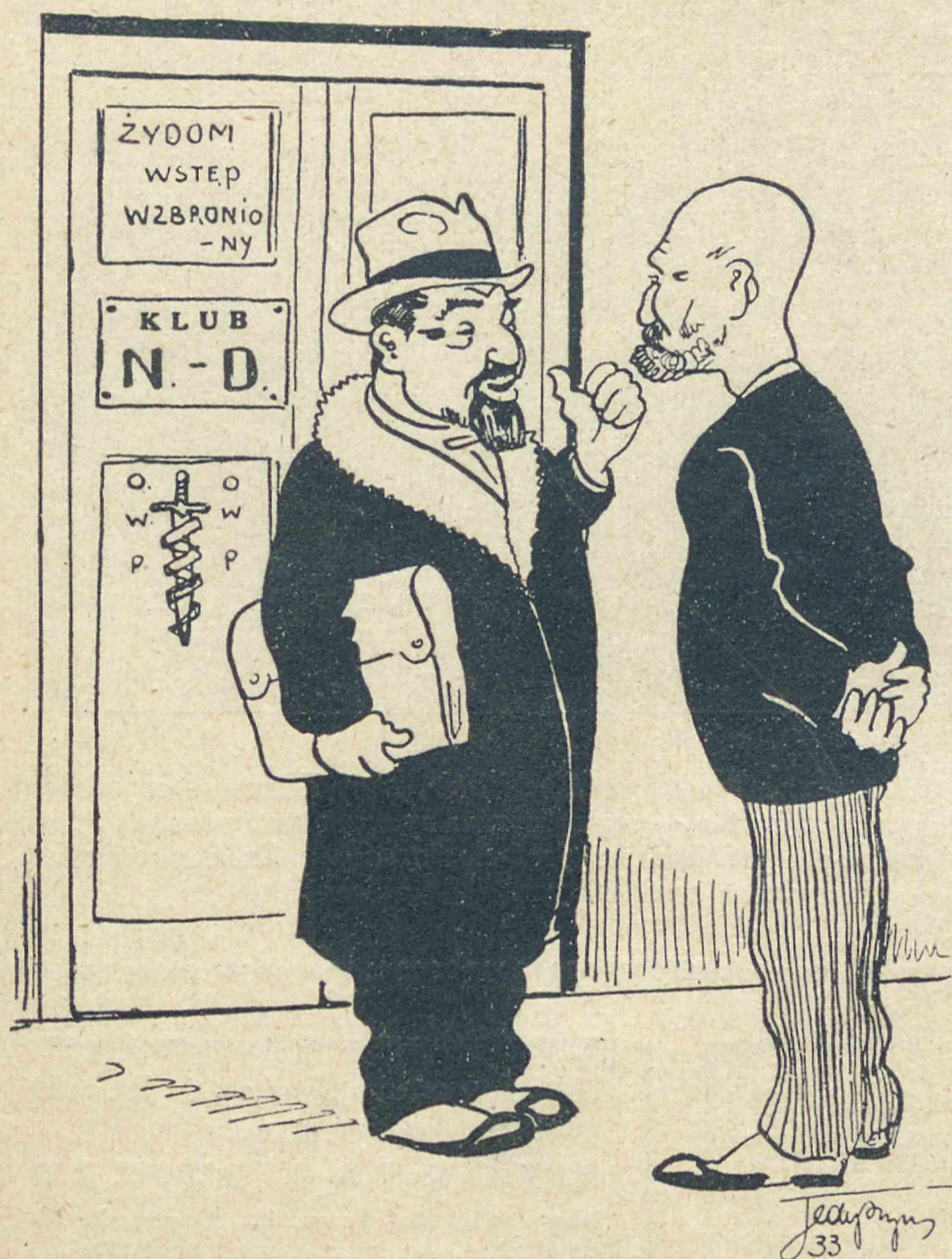
Jeszcze kołysał upojny walc, a mazur...

„Ach! ten mazur — czysta bieda!...
I po balu zasnąć nie da!..."

Tak to bywało, bywało...

J. Migowa

NASZ HUMOR POLITYCZNY



GROŹBA

Poseł Wiślicki. — Jeśli ataki na kartele nie ustaną w B. B., to przechodzę do N. D.!

„Mucha"

Nie śmiej się dziadku

W tych dniach byłem świadkiem nieprzyjemnego zdarzenia. Pewien cudzoziemiec, mój przyjaciel George H., rozmawiając ze mną, sięgnął po papierosa, przytknął zapalniczkę, pociągnął haust dymu i... dziwnie się skrzywił. Przepraszam — zapytałem — co ci jest? — Ach, to ten papieros ma taki przykry zapach, zapach spalonego papieru.

— Ależ ty wziąłeś papierosa do ust odwrotnym końcem — rzekłem — i dlatego zakrztusiłeś się.

— Rzeczywiście, — rzekł p. George H., — coś podobnego...

Sięgnął po drugiego papierosa, zapalił go prawidłowo, ale mimo to skrzywił się znowu.

— Wiesz, nie widzę wielkiej różnicy między jednym końcem papierosa a drugim...

Byłem nieco zgorszony tą uwagą, postponującą nasze krajowe wyroby, ale w tej chwili sobie uprzytomniłem, na czem cała sprawa polega. Otóż w krajach zachodnich typ papierosów o tutce glicerynowanej vel parafinowanej (przezroczystej) nie jest wcale znany. Powszechnie używana jest tam tutka z bibułki samospalającej się Ma ona tę przewagę nad tutką glicerynowaną, że chroni całkowicie palacza przed wchłanianiem dymu z papieru, który zmienia smak papierosa. Zauważcie tylko, że papieros z bibułki samospalającej żarzy się bez przerwy, nie gaśnie, że dym z bibułki ulatnia się na zewnątrz, podczas gdy przy papierosach o tutce glicerynowanej bibułka spala się jednocześnie z tytoniem i to siłą płuc palacza, który wciąga mieszaninę obu dymów.

Chociaż więc opanował mnie na początku tego wydarzenia śmiech wewnętrzny, nie mogłem przecież nie przyznać w duchu, że raczej mój cudzoziemski przyjaciel powinien się śmiać ze mnie, że palę takie papierosy.

S. K.

W kinach warszawskich

Wspaniały, potężny Rzym. Miasto tysiąca uciech, wiecznej wiosny, wina, rozkoszy, miłości i ...krwi... Rzym cezarów, — półbogów i niewolników. Kolos na glinianych nóżkach. Zmaterjalizowany, bezduszny, pozbawiony „wyższych" celów świat, pragnący tylko „wyżycia się". „Panem et circenses!"

A z drugiej strony garstka prostych, szarych ludzi, która odnalazła właściwy sens i treść życia: Wiarę, Ideę miłości wszechprzebaczającej i pracy...

Oto przeciwstawienie dwóch sił w schyłkowym okresie imperjum rzymskiego. Nie jestto antyteza nowa. Na przestrzeni dziejów ludzkości spotykamy więcej podobnych momentów. Możnaby zrobić nawet śmiałą analogję do czasów obecnych...

Łatwo wyczuć, a nawet zrozumieć, że Cecil B. de Mille, tworząc swój film „W cieniu Krzyża", nie chciał się ograniczyć wyłącznie do odmalowania pewnego okresu historycznego. Byłoby to zadanie zbyt łatwe i proste.

Ambicją de Mille'a było wyłuskać z ogromu rzeczy wielkich i drobnych jakąś ideę centralną, pod której sztandarem pragnąłby wychowywać i jednoczyć miljonowe rzesze swoich widzów, — dać szarym zjadaczom chleba, pogrążonym w rozterce i zwątpieniu, wskazanie jasne, wyraźne i pokrzepiające...

*

Żelazna konsekwencja i głębokie, artystyczne ujęcie — oto cechy scenarjusza i inscenizacji „W cieniu Krzyża".

To nie jest film „monumentalny". Tu niema łatwych, tanich efektów. De Mille nie zamierza bynajmniej oszołomić mas ogromem wystawy, tysiącami statystów, zwierząt, emocjonującemi wyścigami kwadryg (jak np. Ben-Hur), pościgami, walkami i t. p.

Jeżeli są sceny „monumentalne" (np. igrzyska), to są one wynikiem konieczności, — potrzebne dla ścisłego oddania atmosfery dramatu.

„W cieniu Krzyża" jest przedewszystkiem dramatem, który wzrusza, pobudza do myślenia, przenika nas swoją temperaturą uczuciową.

Bezwątpienia jest to zasługa nietylko reżysera, ale i artystów. Claudette Colbert dała plastyczną sylwetę Poppei, Elissa Landi była uosobieniem słodyczy i miłości Mercią, Frederick March — marsowym prefektem Rzymu, Charles Laughton zaś, słabym, bezwolnym Neronem.

Ta czwórka stworzyła koncert gry aktorskiej.

Film to nawskroś malarski i kameralny, historyczny i przeniknięty mocną ideologją, krótko — epopea.

J. Fr.

Ś. p. Bronisław Wiślicki

Dnia 31 stycznia r. b. zmarł znany prawnik b. sędzia pokoju, Bronisław Wiślicki. Zmarły urodził się w Warszawie w 1861 r. Po ukończeniu prawa na Uniwersytecie Warszawskim, poświęcił się zawodowi adwokackiemu, na którem to polu pracy pozyskał zaufanie i uznanie, w wyniku czego został z chwilą powrotu



Ś. p. Bronisław Wiślicki

niepodległości Polski powołany na stanowisko sędziego pokoju m. st. Warszawy. Ś. p. Bronisław Wiślicki, niezależnie od obowiązków, związanych z Jego zawodem, poświęcał się pracy literackiej. Z dzieł pozostałych po Nim, zasługują na wyróżnienie: „Masztalerz królowej", „Zmierzch amazonek", „Wspomnienia 1890 — 1930".

Zmarły poczynił zapisy na kasę literacką w gotowiźnie, Radzie Adwokackiej ofiarował posiadłość Swoją Targówek, położony pod Mińskiem Mazowieckim. — Bogatą galerję obrazów przeznaczył dla Muzeum w Katowicach.

Cześć Jego pamięci!

PROPAGANDA KSIĄŻKI



Ruchliwy Zarząd Głównej Księgarni Wojskowej pod kier. Dyr. Thuna — uruchomił ostatnio lotną księgarnię w samochodzie. — Inowacja ta zyskała na prowincji wielu zwolenników. Głównem zadaniem inicjatorów jest dostarczanie książki odległym garnizonom wojskowym.

GRYPA!

Z CAŁEGO KRAJU NAPŁYWAJĄ ZNÓW DONIESIENIA O GRYPIE

Wskazanem więc będzie poświęcić kilka słów tej ogromnie zaraźliwej i napadającej człowieka w sposób podstępny chorobie.

Objawy grypy są następujące: brak humoru, ogólne zmęczenie, bóle różne, przeważnie jednak krzyża i głowy.

Kto już poważnie zapadł na grypę, powinien zwrócić się do lekarza, gdyż jak wiadomo, przebieg grypy może przyjąć obrót zupełnie nieprzewidziany.

Chory gorączkujący, powinien oczywiście pozostać w łóżku.

Różnorodne dolegliwości, towarzyszące grypie, najlepiej jest zwalczać zapomocą jakiegoś środka, któryby jednocześnie łagodził bóle i nie dopuszczał do gorączki. Takim środkiem są tabletki Aspirin. Zapomocą leczenia Aspiriną wpływa się korzystnie na cały przebieg choroby i usuwa męczące bóle głowy i łamanie w kościach. Czas trwania choroby zostaje skrócony, nasilenie zmniejszone a chory łatwiej znosi przykre objawy.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 94 (197) Zadanie kolumnowe

Ułożyła * * *.

(Za rozwiązanie 5 punktów).

1							
2							
3							
4							
5							
6							
7							
8							
9							
10							
11							
12							
13							
14							
15							
16							
17							
18							
19							
20							
21							
22							
23							
24							
25							
26							
27							
28							
29							
30							

W daną figurę należy wpisać 30 siedmioliterowych wyrazów poziomych o podanem znaczeniu. Litery w kolumnach pionowych — drugiej i piątej — czytane od góry ku dołowi, dadzą rozwiązanie.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Wykształcenie, wiedza. 2. Podwójny, dubeltowy. 3. Typ sportowca. 4. Chlorek rtęci. 5. Owad muchowaty. 6. Mnie, miętosi. 7. Roślina warzywna. 8. Ścisły, zbity. 9. Dystrybucja. 10. Lampart azjatycki. 11. Inaczej ufarbuje (wspak). 12. Gatunek wierzby. 13. Zamieć śnieżna. 14. Cisnąć, uciskając, tłocząc. 15. Szkła dla krótkowidzów. 16. Roślina, dająca włókno. 17. Jezioro w Ameryce północnej. 18. Miejscowość pod Warszawą. 19. Podeszwa. 20. Inaczej uratujesz. 21. Otchłań (l. mn.). 22. Przodek rodziny. 23. Okres czasu. 24. Proces chemiczny. 25. Staroświecka broń palna (wstecz). 26. Kuleć. 27. jak 20. 28. Szwajcarzy (od Helwecja). 29. Pamiętamy, baczymy (wspak). 30. Drzewo z rodziny pomarańczowatych.

Brydż

GRA NA PRZEBITKI

Wszyscy wiemy, dlaczego potomkowie niektórych lordów chodzą boso po Londynie. Rodzice ich nie pamiętali o pierwszem przykazaniu brydżysty, że należy ściągnąć atuty. Jak wszystkie reguły, tak i ta ma wyjątki. Doświadczony brydżysta od pierwszego rzutu oka orjentuje się, kiedy musi dołożyć starań, aby osobno wykorzystać atuty na stole, a osobno w ręce. Nie wolno mu w niektórych wypadkach ani razu ciągnąć atutów. Weźmy taki rozkład:

Y: ♠ 9 / ♥ D 9 8 3 / ♦ 7 6 4 3 / ♣ A 8 7 3

A: ♠ K D W / ♥ 7 6 5 4 2 / ♦ K D W / ♣ K D

B: ♠ 10 8 5 3 2 / ♥ — / ♦ 10 8 / ♣ W 10 6 5 4 2

Z: ♠ A 7 6 4 / ♥ A K W 10 / ♦ A 9 5 2 / ♣ 9

Grano w klubie z tym samym rozkładem przy dwóch stolikach. Licytacja przy pierwszym była: Z. jedno kier. A. — pas, Y. — trzy kiery, B — pas, Z. — 4 kiery. A. — kontra.

Przy drugim stoliku Z., licząc na swą mocną kartę, odrazu rozpoczął od 2 kierów. Y. poszedł do czterech. A. kontrował. Z. nie mając właściwie powodu, rekontrował.

W obu wypadkach Z. zrobił grę.

W obu wypadkach A. wyszedł w króla pik.

W dyskusji po grze zapytywano się, czy grając atuta, A. byłby uniemożliwił wygranie, ale okazuje się, że rezultat byłby ten sam.

Dwie były podstawy wygranej. Z. musi robić swe atuty oddzielnie i zaraz z początku grać swego asa karo, zanim A. przy przebitkach pozrzuca się z kar. Z. robi w tym wypadku 10 lew a mianowicie: 4 asy i trzy przebitki na piki i trzy na trefle. I tak, mając zaledwie po 4 atuty w każdej ręce, Z. zrobił 10 lew, pomimo że znalazł u przeciwnika skupione wszystkie pozostałe atuty i mnóstwo mocnych kart.

UMIEJĘTNOŚĆ PASOWANIA

Często spotykanym błędem jest — niezdolność do pasowania. Pas może być nieraz cenniejszy, niż pokazanie koloru. Niezawsze oznacza on słabość. Jest to czasem sygnał dla partnera: „pasuję, bo może masz korzystną kontrę". Albo: „Ponieważ przeciwnicy i tak podtrzymują licytację, oszczędzam się na koniec, by Ci nie przeszkodzić, o ile masz coś ciekawego do powiedzenia".

Często zbyt pochopne przelicytowanie przeciwnika pozbawia naszego partnera możności zdrowej i intratnej kontry. Poniżej przykład, jak zgubną może być czasem licytacja, uniemożliwiająca kontrę naszego partnera.

Y: ♠ K W 10 8 7 5 / ♥ K D 9 6 / ♦ W 5 / ♣ 4

A: ♠ None / ♥ A W 3 / ♦ A D 10 2 / ♣ A K W 10 3 2

B: ♠ 4 3 2 / ♥ 10 8 7 5 4 2 / ♦ 9 8 7 / ♣ 7

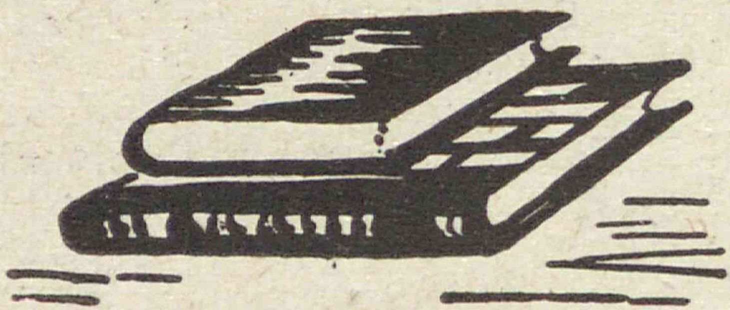
Z: ♠ A D 9 6 / ♥ None / ♦ K 6 4 3 / ♣ D 9 8 6 5

Y. zapowiedział piki, B. spasował, Z. podniósł do 4 pików. A. mając mocną rękę i uważając ostatnią zapowiedź za chęć uniemożliwienia mu licytacji, woła 5 trefli. Tu była najlepsza sposobność dla Y. do pasu. Jeżeli jego partner podniósł go tak wysoko, to niechże sam rozstrzygnie, czy chce iść dalej, czy kontrować. Y. nie miał należytej powściągliwości i zapowiedział 5 pików, skontrowanych przez A, przegrał i stracił możliwość ogromnego zapisu.

Tegoroczne powieści „Świata"

Co miesiąc „SWIAT" daje swoim prenumeratorom, jako

DODATEK BEZPŁATNY,



tom wartościowych, najnowszych powieści

najwybitniejszych autorów o wszechświatowym rozgłosie.

●

W styczniu 1933 r.

Teodor Dreiser: „GALERJA KOBIET"

Przekład autoryzowany Z. Popławskiej

Autor „Tragedji Amerykańskiej", znanej już w Polsce i z filmu i z książki, w swej ostatniej powieści „Gallery of vomen" daje przegląd kobiecych charakterów. Parokrotny kandydat do nagrody Nobla, jeden z najgenjalniejszych pisarzy współczesnych, książką tą dowiódł, że należy dziś do najlepszych znawców duszy kobiecej. Postacie „Galerji kobiet" — to postacie wyjęte z życia, to rzeczywisty obraz połowy rodzaju ludzkiego XX wieku.

W lutym 1933 r.

W. Somerset Maugham: „Obca naleciałość"

Przekład autoryzowany Bolesławy Kopelówny

Somerset Maugham jest doskonale znany naszym czytelnikom chociażby z dołączonego niedawno do „Świata" — „Okrągłego tuzinu". Oszałamiające powodzenie, jakiem się cieszyły jego sztuki, wystawiane w teatrach polskich, poczytność jego dzieł wydawanych w Polsce skłoniły nas do poszukiwania jego ostatnich dzieł. „Obca naleciałość" jest jedną z najlepszych prac tego pisarza i dramaturga. Maugham z niezrównanem mistrzostwem ukazuje nam życie współczesnej Anglji, dumnego Albionu, odgrodzonego od Europy murem „wspaniałego odosobnienia".

W marcu 1933 r.

Kpt. A. E. Dingle: „KOBIETY Z WYSPY"

Przekład autoryzowany Dr. H. Bukowskiej

Jest to powieść egzotyczna, przedstawiająca życie europejczyków, rozsianych po bezmiernych obszarach kolonji angielskich na Wschodzie. Barwne typy tubylców, tajniki duszy mieszkańców Wschodu, porywająca akcja, czynią z „Kobiety z wyspy" arcydzieło. Książka ta obecnie zyskuje na aktualności wobec wypadków na Wschodzie, gdyż akcja rozgrywa się na jednej z wysp, będącej pod protektoratem Japonji.

Autor, sam podróżnik, włóczęga po całym świecie, w powieści tej łączy sensacyjność akcji z rozmachem pisarza i psychologa.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o Druk. Galewski i Dau, Warszawa.

